PIĄTY ROK WYDAWNICTWA

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 maja 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
45 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

STANISŁAW WITKIEWICZ

MYŚLI WYBRANE

Stanisław Witkiewicz urodził się 8 maja 1851 roku w Poszawszu na Żmudzi.

Był jednym z najznakomitszych europejskich krytyków plastycznych, wybitnym malarzem, odkrywcą Tatr, wielkim moralizatorem, heroldem współczesnej demokracji polskiej, genjalnym wizjonerem.

Zmarł 5 września 1915 roku, na ziemi włoskiej, w Lovranie.

„Zamknęły się usta — powiedział wówczas Żeromski — które jeszcze tak dużo nie dopowiedziały...".

O SZTUCE

Sztuka jest czynem, nie kontemplacją. Nie trzeba pytać, co z tego będzie, trzeba czynić z całą pasją, jak Japończycy, a będzie dzieło sztuki.

*

Przygotowuję Kossaka do druku, wiele dodaję, wiele poprawiam pod względem literackim, ale nie mam do cofnięcia ani słowa. Ciekaw jestem, kiedy zaczną mnie ludzie czytać, rozumieć i uczyć się z tego mnóstwa wiadomości o sztuce, o samej psychologji tworzenia, które, muszę przyznać, że się w tych książczynach znajdują.

*

Można z głodu jeść tanie pomyje, ale nie wolno jest pić pomyj ducha, pomyj sztuki, dlatego, że tanie. Oddaj wszystko, co masz, za jeden diament myśli i wróć bosy, oberwany, ścigany przez wierzycieli, ale nie kupuj taniej wiedzy, tandetnego ducha, tandetnej rozkoszy, dlatego, że tania. Trzeba być dumnym i nie zadowalniać się byle czem, ani w sztuce, ani w życiu.

*

Niezmordowana twórczość Chełmońskiego polegała właśnie na tem, że on na sztukę zamieniał wszystko, co było w nim i co było zewnątrz niego. Trzeba się w to wżyć, trzeba, żeby to był konieczny odruch każdego poruszenia duszy. Ideałem byłoby, żeby sztuka stawała się sama, jako czysta emanacja procesu psychicznego. Ale tak nie jest. Obraz tworzy dusza, i oko, i ręka — i trzeba je stopić w jedność. To się otrzymuje tylko przez ciągłe tworzenie, przez ciągłe łączenie dróg nerwowych.

*

Żeby ludzie raz zrozumieli, że sztuka, to wyraz duszy — toby sztukę robili tak, jak ptak śpiewa. Przestałaby ona być tą zmorą i nie trzebaby było tyle o niej gadać. Ale ludziom ciągle się zdaje, że sztuka to jest coś z zewnątrz nas, do czego trzeba przewracać oczami, do czego trzeba dążyć, czemu się poświęcać, lub z powodu czego trzeba ryczeć, upijać się i udawać rozpustnych, idealno-cynicznych modernistów. A tu trzeba żyć i być szczerym.

*

W sztuce więcej jest wart atom zapału, niż góra doświadczenia.

O SPRAWIE NARODOWEJ

23 sierpnia 1912 r.:

Sprawa chełmska, wybory do Dumy — dobywają z polskiego społeczeństwa na wierzch całą nędzę niewolniczych instynktów, zatęchłość duszy i tępość myśli. Na biednego biskupa Bandurskiego rzucili się ugodowcy i konserwatyści. Jego list, nieświetnie napisany, ale polski, uczciwy i odważny, przeraził tych wiecznie przestraszonych. Czy ta Polska otrząśnie kiedy z siebie te parchy?

15 września 1914 r.:

O wiernopoddańczym adresie endeckim do W. Księcia Mikołajewicza:

Dokument, żeby wyrażał szczere uczucie, byłby dowodem ostatecznego spodlenia, jeżeli zaś jest przebiegłością polityczną, to jest Wallenrodyzmem — idjotów!

23—27 października 1914 r.:

„Nowa Reforma", trzeba oddać sprawiedliwość, że jak na siebie jest bardzo żywa i bardzo uczciwa, ale proszę być mądrym z tego, co w niej się czyta o takiej najważniejszej, takiej potwornej sprawie, jak to, co się dzieje w Królestwie. Srokowski, który napisał parę dobrych artykułów, jak przychodzi ta sprawa, jest zupełnie głupi i nie zdobywa się na nic innego, jak na dosyć pospolite i zszargane wymysły na Dmowskiego. Zamiast podać fakty, daty, czyny, nazwiska, ci rozpisują się o durniu, o którym trzeba zapomnieć. Dmowski jest produktem, nie twórcą tych politycznych prądów.

23—27 października 1914 r.:

W 1905 wystąpił w straszliwy sposób ten rozdział wewnętrzny — a teraz w jeszcze straszliwszy; ci co nie chcieli walczyć, mówili: to moskiewska rewolucja, to żydowski Bund, to międzynarodowy socjalizm. **Dziś żołnierze polscy z białemi orłami na rogatych czapkach idą się bić — ci, co nie chcą się bić — mówią: to intryga Niemców, to głupota — i kupią się około najgłupszej myśli politycznej.** Ale strzeżmy się łatwego sądu — który mówi: zdrajcy, sprzedawczyki — nie, to są tylko ludzie bezgranicznie głupi i wyrośli bez idei niepodległości, bez idei samodzielnego życia narodowego, ciągle oczekujący łaski, przywykli stać ciągle w przedpokoju tej czy innej władzy, z zapewnieniem lojalności i prośbą o wsparcie. Nie zdrajcy, ale przeklęci, słabi ludzie, nie mniej szkodliwi od rzeczywistych zdrajców, ponieważ te pozory polskości nadają ich czynom pewne usprawiedliwienie i mogą głupich i słabych pociągać.

Więc walczyć z tem i tępić trzeba bez żadnych względów.

O KATOLICYZMIE

17 września 1912 r.:

Studjuję Kongres Eucharystyczny. Co to za potworność! Żeby Chrystus się tam znalazł, między tymi wyzłoconymi lokajami! — siedziałby „na policji"! Ach, co za dureństwa!

24 grudnia 1914 r.:

Poczciwa myśl papieża **(o jednodniowem zawieszeniu broni w Boże Narodzenie)**, ale jakiż to dowód słabości, omdlenia katolicyzmu i papiestwa. Nie ma już ono wielkich myśli, nie czuje mocy nakazania pokoju — nie czuje swego posłannictwa, prosi o jeden dzień, a i tego dnia, zdaje się, nikt nie zechce podarować. Nie — już z tej strony nie przyjdzie odrodzenie ludzkości — nie katolicyzm „odnowi postać ziemi".

O CZŁOWIEKU O SPOŁECZEŃSTWIE

Dusza ludzka w swojej zasadniczej treści jest jednaka we wszystkich warstwach społeczeństwa.

Na najwyższych i na najniższych szczeblach hierarchji społecznej władają ludźmi te same uczucia, dążenia i pożądania, a najbiedniejszy obdartus różni się od najpotężniejszego arystokraty tylko cienką warstwą zewnętrznej powłoki, wytworzonej przez nieraz czysto materjalne wpływy warunków życia.

*

Istotę człowieka poznaje ten tylko, kto umie czcić genjusz w dziecku, kto w głębi duszy ludzkiej potrafi dojrzeć utajoną moc czynów niespełnionych, kto w nieśmiałym szepcie duszy ledwie budzącej się do życia, dosłyszy szum wichru myśli wieszczów, kto na wątłych jeszcze skrzydłach młodości, dojrzy orle pióra potężnych lotów, kto w nagim nędzarzu, wyrzuconym na śmietnisko odpadków ludzkich dojrzy znamiona wyższych pierwiastów ludzkiej godności.

*

Trzeba być i w sztuce i w życiu tak jak Böcklin, najwspanialsze połączenie żywej i cudownie pobudliwej wyobraźni z doskonałą, pełną świadomości i wszechstronności, inteligencją. Cokolwiek się czyni, czynić z jasną świadomością celu tego czynu i z pasją, by ten czyn był doskonały. Cokolwiek człowiek robi, niech robi tak dobrze, jak tylko może, jak jest naprawdę zdolny. I czy to będzie obraz, czy bitwa, czy wycieczka, we wszystkiem może objawić się to, w jakim ten człowiek jest stanie.

*

Wyższy typ człowieka urabia się tylko przez oderwanie serca od siebie, przez roztapianie duszy we wszechświecie i w ludzkości. Im bardziej człowiek się oddala od tych światów, tem mniej promieni dochodzi do jego duszy, tem staje się ona uboższa, suchsza, ciaśniejsza i wkońcu krzepnie w małostkowości i pospolitości.

*

W najgrubszych sprawach bytu materjalnego i w najsubtelniejszych zagadnieniach naszej duszy jesteśmy bezpośrednio zależni od tej ilości społecznych zdobyczy, które w stanie rozproszenia wypełniają cały zakres bytu ludzkiego. I dusza ludzka, któraby się pozbyła wszystkiego, co jej daje życie społeczne, byłaby ciasną i małą duszyczką jakiegoś pierwotniaka. Gnębić i obcinać w sobie najtrudniej przez ludzkość zdobyte przymioty, jest to odrabiać wstecz pracę wieków i wracać do niższego typu, do marniejszego stanu, do psychologji zwierząt.

*

Przypuśćmy, że współczucie przestaje istnieć w naszych duszach, a współżycie przestaje być naszą potrzebą i podstawą stosunku z ludźmi. Zrywamy wszystkie związki psychiczne z bliskiemi czy dalekiemi jednostkami czy masami, nie obchodzi nas ani nędza, ani cierpienie, ani radość i szczęście innych. Koło dusz ludzkich przechodzimy, jak koło kamieni, uderzamy w nie pięścią, obrażamy brutalnością, nie obchodzą nas prorocy, wiszący na krzyżach, ani narody cierpiące czy walczące. Znika w nas całkowicie to współczucie, ta subtelna zdolność dostrajania się do dusz ludzkich, i znikają wszystkie wynikające z niej czyny. Czyli stajemy się absolutnymi chamami, których czynów nie strzeże już dusza, jej dobrowolne poruszenie, tylko strzeże policja albo pięść i brutalność innego chama. To wszystko, co w duszach ludzkich wyrobiło się przez etykę chrześcijańską i buddaizm i przez etykę rycerskości, wszystko to wyrzucamy i zostajemy z instynktami pierwotnego egoizmu i z grubemi, ciemnemi duszami, które uświadomiają sobie tylko te pobudki.

To nie ideał ani dla jednostki, ani dla ludzkości. To jest ciemnota. To wszystko, co stanowi wyższy typ człowieczeństwa, nie mogłoby istnieć ani jednego dnia wśród takiego chamstwa.

*

Człowiek musi nad sobą panować, pewne swoje właściwości i siły trzymać w karbach lub unicestwiać. Wszystkie te właściwości, wszystkie te władze ludzkiej natury, które musimy otamowywać, są władzami, oddziaływającemi na nasz społeczny stosunek do innych ludzi. Wszystko, co szkodzi innym społecznie, trzeba hamować, jak trzeba hamować to, co nam szkodzi, zabijając w nas wyższe władze duszy na rzecz niższych instynktów.

*

Niedawno słyszałem opowiadanie p. p. Dłuskich o zabitym Curie, tym fizyku. Był on tak wychowany, że wszystkie kardynalne podstawy dzisiejszych wyobrażeń o ludzkich związkach dla niego nie istniały: ani ojczyzna, ani religja, ani żadna inna forma nie miały dla niego żadnej wartości. Nie pojmował on, jak się tem można zajmować, a jednocześnie był idealnym człowiekiem społecznie, dobrym, prawym, wiernym, poświęcającym się, co wszystko nie przeszkadzało mu czynić genjalnych prac w fizyce i chemji (w tej ostatniej wielką zresztą wiedzę, miała jego żona). Człowiek taki stoi na najwyższym punkcie uspołecznienia. Nie potrzebuje on ani przymusu prawa, ani przymusu obowiązku. Jego natura dokonała całkowitej ewolucji, wyrzuciła z siebie wszystkie kolce i łykowatą miazgę, i stała się rośliną, dającą tylko kwiaty i owoce — pożyteczną, piękną i miłą, i nadzwyczaj przytem indywidualną.

*

Każdy młody czeka fali życia, to czekanie fali, to gonienie za czemś, czego się nie przeżyło, jest to siła rzutu naprzód, która nieraz prowadzi do wielkich czynów. Nie trzeba tylko tego marnować przez zasypywanie pustki, która jest w duszy pragnącej życia, sieczką małych rzeczy, małych stosunków, małych interesów, małych namiętności.

*

W życiu najwięcej warta młodość, a w sztuce zapał, którego bez młodości duszy mieć nie można.

*

W sferze instynktu płciowego panuje pewne błędne pojęcie, robiące z tego instynktu taką siłę, która nieraz targa i niszczy życie. Samo uczucie, wskutek swoich właściwości, swojej powszechności, swojego ciągłego napięcia w mniejszym lub większym stopniu, jest zdradną siłą, która ogarnia niepostrzeżenie, która wypełnia świadomość, odrywa ją od innych zagadnień i daje przyjemne poczucie siebie, swojej siły — poczucie spełnienia czynu — choćby człowiek siedział z założonemi rękami. Z drugiej strony ideologja miłości, wytworzona z tych pierwiastków psychicznych i społeczno-etycznych, staje się jakby nakazem pójścia za każdem poruszeniem uczuć, wytwarza pojęcie — nie tylko, że można, ale że i należy, że jest dobrze, zaszczytnie, że jest koniecznie poddać się doznanemu wrażeniu bez oporu i z wzajemnego posięścia się uczynić cel — jak się zdaje ludziom niemyślącym w życiu — definitywny. Otóż to jest pomyłka, pomyłka nieraz bardzo szkodliwa dla duszy i życia ludzkiego. Z powstającem uczuciem, bez względu na jego istotną siłę, bez względu na to, czy to jest przelotny „Rausch" zmysłów, czy sięgające głębiej uczucie, można, a często powinno się walczyć, tak, jak się walczy z każdym nałogiem lub manjactwem. I walczyć człowiek obowiązany z jednej strony dlatego, że to uczucie może być zgubne dla jego duszy i nadewszystko — że może być zgubne dla szczęścia — drugich istot. Przyjemny stan, wesoła zabawa, bezmyślne palenie się zmysłów jednej istoty może być dla drugiej źródłem cierpień, rozpaczy i tragicznych zdarzeń.

*

Ten stan, w jakim ludzie są pod wpływem uczucia, ogromnie podnosi napięcie ich psychicznych właściwości. Dusza ludzka roztacza pawi ogon, za którym nie widać szarego ptaka i jego nóg brzydkich i ordynarnych. Z drugiej strony stan napięcia uczuć, podniety, ten „Rausch", jak mówi Nietzsche, zaciemnia jasność obserwacji i zdolność krytycyzmu. Cap nawet w czatujący na niego kłusowniku widzi kozicę i biegnie na strzał.

*

Życie jest zbyt skomplikowane, żeby tylko samemi skłonnościami uczucia można było z niem się załatwić: życie wymaga rozumu — świadomości siebie, znajomości człowieka, z którym żyć mamy, znajomości

istoty uczuć i umiejętności współżycia, kierowania się wśród zawiłego splotu warunków współczesnego bytu i jeszcze zawilszego splotu ludzkiej psychiki. Często poprostu człowiek musi bronić siebie i tego drugiego bliskiego człowieka przed sobą i nim samym, musi, szanując jego wolę — ocalić swoją jednocześnie, musi utrzymać swoją niezależność, nie niszcząc niezależności i godności drugiej istoty, musi wiedzieć, co jest wielkie i najważniejsze, od czego niema odstępstw i w czem można zawierać kompromisy i wzajemnie się tolerować.

*

Z ludźmi silnymi mówię, nie oszczędzając ich.

*

Tak prawdę powiedziawszy, dziś trudniej niż kiedy ocenić inteligencję człowieka. Ta masa wiadomości, ten ogrom myśli, który jest rozpylony w atmosferze umysłowej, tak łatwo się pochłania i tworzy na mózgu błyszczący nalot, a na języku świetny frazes, poza którym niema wcale istotnie twórczej myśli, stanowiącej rzeczywistą inteligencję.

O CZASACH, KTÓRE PRZYJDĄ

Trzeba zawsze stawać na najradykalniejszem stanowisku, to jest na stanowisku absolutnej sprawiedliwości społecznej, która jest wcieleniem jedynej wartej czci siły, łączącej ludzkość — miłości. Z dzisiejszych ustrojów społecznych nie może zostać nic. Są to podłe, smrodliwe, pełne ciemnych nor, w których się lęgnie zbrodnia, budy — te, tak zwane, gmachy społeczne. Z tem trzeba walczyć — z całą bezwzględnością...

...Sceptycyzm i cynizm w sferze zagadnień społecznych są objawami niskiego stanu rozwoju uczuć.

*

Ustrój społeczny, na który powinno się godzić, powinien iść dalej, niż marzenia socjalistów dzisiejszych. Na to, co jest i co długo jeszcze będzie, patrzmy, jak na przechodnią chwilę.

*

...z czasem postęp elektrotechniki, czy może jeszcze innej, na jakiejś subtelniejszej, nieznanej dziś sile opartej techniki, doprowadzi do tego, że całe dobro, jakie ludzkość w sztuce zgromadziła, stanie się dostępne dla wszystkich, wszędzie i w każdym czasie. Przenoszenie obrazów i dźwięków będzie rzeczą tak łatwą i zwykłą, że wymiana myśli, współrzędność wrażeń i wzruszeń, stanów psychicznych i uczuć, uczyni z ludzkości jakby jedną potężną duszę. Rozlew idei stanie się coraz łatwiejszy; materjalne środki przenoszenia myśli staną się poprostu częścią naszego organizmu. Czemże jest telefon, jeżeli nie spotęgowaniem naszego głosu i słuchu. Takie same też będą urządzenia, potęgujące siłę naszego wzroku do bajecznych granic. Z czasem więc, obrazy Velazqueza lub Rembrandta, których dziś trzeba szukać w Madrycie lub Antwerpji, będą oglądane jednocześnie na całej kuli ziemskiej — od Pekinu do Zakopanego. Żeby widzieć skutą mrozem pustynię podbiegunową i kipiący nadmiarem przepych życia podzwrotnikowego, dość będzie dotknąć jakiegoś guziczka. I nie tylko widzieć: straszny huk ścierających się gór lodowych i gwar tysiąca odgłosów z indyjskich ostępów, będą przychodziły razem z obrazem. Może nawet pełność wrażeń dojdzie do jednoczesnego przeniesienia napięcia elektryczności i temperatury — będziemy marzli lub słaniali się w znojnem gorącu; — będziemy odurzali się zapachem kwiatów, które zakwitły o tysiące mil w dali, lub wzdrygali się z obrzydzenia od zaduchu rozpadających się cielsk wielorybów...

...Wypełni to mnóstwo dotychczasowych marzeń, zaspokoi mnóstwo pragnień i otworzy jeszcze dalsze i szersze horyzonty, wzbudzi jeszcze inne pragnienia i tęsknoty...

*

Cnota musi się stać powszednim, pospolitym, nieuświadomionym stanem, żeby człowiek mógł być istotą wyższą ponad siebie, żeby mógł, odrzuciwszy szczudła praw i obyczajów, pęta przykazań i obowiązków, żyć w zupełnej zgodzie z sobą, zupełnej swobodzie, we wspaniałej godności istoty niezależnej — odpowiedzialnej tylko sama przed sobą.

Stanisław Witkiewicz

Źródła: Stanisław Witkiewicz. „Myśli". Stanisława Witkiewicza Testament. Marja Witkiewiczówna. „Wspomnienia o Stanisławie Witkiewiczu". Roman Zrębowicz. „Rozmowa ze St. Witkiewiczem". („Tygodnik Ilustrowany", nr. 11 z 14 marca 1937).

wybrał i zestawił Zygmunt Jarosz

ANNA KOWALSKA

RZECZY PIERWSZE *)

Słyszała z drugiego pokoju łomot trzaskających słów. Często tak przy końcu miesiąca. Bolała ją głowa. Od roku prawie codzień bolała ją głowa.. Dlaczego tak się nie krępują? Anielka i Ksawerka się uczą, Karusia śpi, a Władzio podsłuchuje. Odsunęła okład z czoła i w jasnych kwadratach ceratki na stoliku wypisała P. N. B. O. M. Co oznaczało: przeklęty niech będzie ojciec i matka. Widziała w kościele na tablicach takie wielkie litery, a czytała właśnie Biblję i podobały się jej słowa przeklinające; rzucali je królowie, prorocy i nawet Bóg.

Odsunęła zeszyt kaligraficzny i przyciągnęła Biblję. Lubiła tę książkę, jak nic na świecie. Bronzowa skóra okładki miała zadziorki, podobne do tych, jakie się tworzą koło paznokci Jeśli je ciągnąć, odchodziła bibułkowa, cieniutka skóra, a pod nią tworzyła się ranka liljowawo-szara, miękka pod palcem, jak grzyb. Mimo tego lubienia trochę brzydziła się Biblją, taka była stara, a pierwsze kartki poczerniałe i starte na rogach. Ilustracje czarne, straszne. Bóg podobny był do Moszka, który we wtorki przynosił jaja. Kiedy Moszko przychodził, starała się nie oddychać. Dlatego nie bardzo lubiła Boga na ilustracji. Szkoda, że nie może kupić Biblji z kolorowemi obrazkami, w ślicznej, czerwonej oprawie. Stara Biblja należała do ojca matczynego, który ją miał od swojego dziadka. Wydrukowana była dawno temu, kiedy jeszcze byli królowie polscy. Na pierwszej i drugiej stronicy zbladłym atramentem były wypisane imiona i daty. Anna urodzona w 1883, to matka, Wacław 1884, to brat matki, Elżbieta 1890, to ciocia Elza, i dalej, inną już ręką: Hilda, Stanisława, Herminja, Barbara, i obok krzyżyki, bo wszystkie cztery umarły na gruźlicę. Na górze stronicy imiona śmieszne: Dezyderjusz, January, Hieronim, wypisane tak bladym atramentem i ukośnemi literami, że prawie nieczytelne. Daty kupna domu, wycięcia lasu, daty rozbiorów Polski i powstań. Na ostatniej karcie książki ręką matki wypisany był dzień, a nawet godzina urodzenia Maryni. Przykro odczuwała to, że imię jej związane było z tą starą książką i imionami ludzi umarłych.

Od lat, kiedy tylko mogła dorwać się Biblji, oglądała ją, czytała, albo chociaż trzymała w ręku. Najbardziej lubiła czytać początek, mimo startych rogów książki. Srogość pustej ziemi, ciemność i duch Boga nad wodami. Czemuż wtedy nie żyła? Sama. Bez początku. Nie nosiłaby żadnego imienia, gdyby była jedna. Byłaby.

Zesunęła okład na prawą skroń, gdzie mżył ból. Przymknęła oczy. Przyjemnie myśleć o tych dawnych czasach. Myślenie trochę podobne jest do przechadzki. To, co pomyśli, zostaje w niej nazawsze. Tak samo raz ujrzane pola i lasy odbijają się w pamięci i już nie można sprawić, by nie istniały. Wróciwszy z przechadzki do domu mogła narysować, który listek był zwinięty, który pączek kudłaty. Szkoda, że nie umie lepiej rysować. Ołówek chodzi sam; i mimo, że w głowie miała dokładny obraz, ręka nie chciała przelać tego na papier; ale tem dokładniej Marynia pamiętała. Za pół roku ma iść do spowiedzi. Jakże powie księdzu o tem, że uderzyła ilustrację, na której Bóg przemawia do Adama i Ewy? Dlaczego to zrobiła? Nie mogła dokładnie sobie przypomnieć. Coś jakby obrzydzenie do Adama, Ewy i Pana Boga.

Zwinęła dłoń w trąbkę i szepnęła: — Będę potępiona nazawsze. — Przymknęła oczy; białe ognie migały w fioletowych zorzach świecących pod zaciśniętemi powiekami. Pewnie będzie potępiona, ale w piekle będzie kochała Boga... za darmo. Przeraziła się tej myśli. Uklękła i zmówiła pacierz. W tej chwili ucichła rozmowa rodziców. Marynia chciała wstać z klęczek, nie lubiła, gdy ją kto zaskoczył; ale, czy że miała ruchy powolniejsze, niż myślenie, czy też przez przekorę, wstała dopiero wtedy, kiedy matka weszła do pokoju. — Dlaczegoś się modliła? — I, aby ich ukarać za gniewy i złości, powiedziała pogardliwie: — Za zgodę rodziców. — Matka patrzyła na nią długo, milcząc. Potem poszła do ojca i coś mu szeptała. Marynia wybiegła do sieni i ogrodu. Biegała w długich podskokach od jarzębiny aż po jawor, krzycząc i śmiejąc się. Dzieci bawiły się w zbójów i żandarmów. Po kolacji matka dała konfitur na chleb. Rodzice nie patrzyli na nią. Mówili długie zdania, jak przy gościach, i nie przerywali sobie.

W łóżeczku nie odrazu zasnęła. Dom zatopiony w ciemnościach zdawał się płynąć z wodą. — O Boże, Boże, Boże! — Ale Bóg był obrażony. Dlaczego skłamała? Dlaczego tak często kłamie? W nocy piekło wydawało się straszniejsze, a ona sama mniejsza i niepewna siebie. Może, jeśli zada sobie jakąś pokutę, to chociaż w części okupi winę. Da Anielce pudło z koralikami. Włoży gwóźdź do bucika. Przez tydzień nie będzie czytała Biblji. I tę koronę, którą ojciec wsunął jej do ręki, da dziadowi. Nie, da Ludce, bo tam bieda od czasu, kiedy Jan uciekł z domu. To będzie prawdziwa pokuta, bo Ludki nie znosi. Szkoda, że ojciec dał jej koronę właśnie dziś. Mogłaby ją zatrzymać. Kupiłaby sobie książkę o dzikich ludach.

Nie dała jednak Ludce, bo na drugi dzień matka pożyczyła od niej tę koronę. Chciała koniecznie kupić sobie nową woalkę do kapelusza, który przerobiła.

*

Matka kupiła jej po pierwszym w małej księgarni przy pasażu Andriolego: „Ludzie dorośli i ludzie mali". Odtąd przy kolacji i obiedzie, Marynia zagadywała o Cejlonie, Tybecie i Kongu, jak o trochę oddalonych znajomych. Wracając ze szkoły, zatrzymywała się przed wystawą globusów. Marzyła o takim. Matka po ostatniej konferencji, bardzo pomyślnej, poszła zapytać o cenę. Ale ani myśleć, taki drogi. Na strychu u ciotek stał duży globus. Co niedzieli Marynia obiecywała sobie, że poprosi, albo ukradnie, ale ukraść globus jest trudno, a poprosić o co ciotki jeszcze trudniej. Choć co niedzielę mały prezent leżał dla niej na toalecie ciotki Józefiny, jednak prosić o cokolwiek ciotki było niemożliwe, może dlatego, że ojciec tak często wyłudzał od nich pieniądze.

Trochę pocieszył ją sześcian sklejony przez matkę, z pięknie namalowaną mapą obu półkul. Matka próbowała zrobić pełną kulę, ale tylko zepsuła dużo papieru. Ojciec polinjował równoleżniki i południki. Równik trochę się zalał, ale to nic, bo nawet na mapie jest grubiej narysowany. Matka wymalowała blademi kolorami różne kraje. Znalazła się i Polska, większa od jagiellońskiej, z Wrocławiem i prawie po pół Saksonji. Tam urodziła się babka matki, zanim przyjechali do Lwowa, jako koloniści. San Domingo miało kolory polskie, bo tam przecie poumierali ci, których Napoleon wysłał. Włochy dostały Tryjest. Matka także przeczytała „Serce" i bardzo się jej podobało opowiadanie o tym chłopcu, który zginął, trafiony kulą na drzewie. Greckie barwy znaczyły Cypr, Rodos, Imbros i wiele tylko jest wysp na zachodniej stronie morza Śródziemnego. Wtedy właśnie panna Irena pożyczyła matce wiersze, poety, który bił się za Grecję, chociaż był Anglikiem i kulawym. Ojciec powiedział, że taka mapa nic nie znaczy, ale dzieci patrzyły bez zdziwienia, jak matka zmieniała dowolnie mapę świata wedle własnych wzruszeń nad przeczytanemi ostatnio książkami, a kształt ziemi spowodu trudności w sklejeniu mapy.

Poeta angielski zapanował w domu na długie miesiące. Trzeba było zwrócić książkę, więc zaczęło się przepisywanie w grubych zeszytach najpiękniejszych wierszy. Marynia i Anielka pisały na zmianę. Całe popołudnia i wieczory pióra skrzypiały w różnem tempie. Ojciec miał zajęcie dodatkowe i prawie go nie było w domu. Oprócz tego odbywał długie spacery po mieście, bo był zdenerwowany. Tymczasem dom rozbrzmiewał deklamacjami. Marynia nienawidziła deklamacji. Było w tem coś prawie bezwstydnego. Matka deklamowała z furją, z pasją, z ironją, opluwającem szyderstwem, cierpieniem, od którego się umiera. Tak samo deklamował Władzio i Ksawerka. Matka opierała zaciśniętą pięść na stole, aż lampa podskakiwała. Marynia bała się, że będzie pożar, jak w czasie przedstawienia „Balladyny". Takiego samego sposobu deklamacji żądała od Maryni. Zarzuty spadały jak policzki: że nic nie rozumie, że nie ma serca, i znowu z zachęcającem: — Słuchajże, na miłość boską! — deklamowała strofy po strofach. Miała piekielną pamięć. Kiedy tylko nie było pracy w ogrodzie, opętywał ją demon poezji. Sprzątała, rurkowała włosy, szyła, kąpała dzieci, robiła ciasto, deklamując. A za nią chodził Włodzio z Karusią i zadyszani powtarzali namiętnie rymy, patrząc się ku górze na twarz matki. Odkryła taniutkie wydawnictwa Słowackiego i Wincentego Pola. Lubiła tylko poezje. Słowacki był bogiem, a Wincenty Pol tak po domowemu pisał o ziemi naszej! Kto przychodził, musiał wysłuchać losów Beniowskiego. Z poezją przyszła i Polska, nie ta Polska z historji czy geografji, nie oznaczała ziemi, ludzi, ojczyzny, ale była to jakby święta orędowniczka nieszczęść, a trochę jak piękna, zdradzona kochanka. Z wszystkich wstydów, ten był najgorszy dla Maryni, kiedy matka rozmarzała się i opowiadała dzieciom o żywotach bohaterskich i okrutnych, o strasznych nieszczęściach, o cierpieniach, o daremności wysiłku:

Marynia czytała historję Polski tylko do Sobieskiego. Dalej zaczynało się to morze cierpień, od którego martwiała dusza. Po latach, wspominając tę swoją niechęć do dziejów saskich i porozbiorowych, zastanawiała się, czy to zawstydzenie cierpieniem nie było także spowodowane tem, że należała do pokolenia przeznaczonego do wolności; nieszczęścia narodowe obrażały ją, jak ongiś bliskość żałoby kalała kapłanów.

*) Fragmenty z powieści pod tymże tytułem.

CARL VON OSSIETZKY

„ — że umarł Ossietzky; i czy nie mam jego fotografji — "

Umarł Ossietzky...

Nie, nie mam jego fotografji — skąd? Nie wiem nawet, jak wyglądał. Posiadam tylko jego obraz, obraz taki, jaki powoli formuje się w ciągu lat i uzyskawszy doskonałość, zachowuje się na samem dnie duszy.

Carl von Ossietzky, Niemiec, którego ród wywodził się z polskiej szlachty, mógł być i będzie kiedyś dumą swojego narodu. Był wcieleniem niemieckiego ideału: człowiekiem idei, o sumieniu nieomylnem, o woli stalowej, o charakterze niezłomnym.

Podczas wojny walczył dla ojczyzny z bronią w ręku, po wojnie walczył o nią swojem świetnem piórem, swoją przenikliwą inteligencją jako demokrata i pacyfista. POKÓJ NA ZIEMI — to stara, wielka idea. Wyznawcy tej idei często stronią od walki politycznej, toteż Ossietzky nie chciał nigdy do żadnej partji należeć. Przez długie lata był on dobrym duchem znanego poczytnego czasopisma „Weltbühne" i mógł był zostać dobrym duchem Niemiec i pokoju europejskiego. Proroczy głos jego ostrzegał od bardzo dawna przed nadciągającem niebezpieczeństwem, ostrzegał aż do ostatniej chwili. Kiedy mógł jeszcze ratować się, nie skorzystał z możliwości ucieczki, lecz pozostał na posterunku, powtarzając ciągle swój alarmujący sygnał: S. O. S. Jeszcze przed przewrotem, jego ataki na Reichswehrę ściągnęły nań szereg procesów. Z nastaniem Trzeciej Rzeszy życie Ossietzky'ego zamieniło się w straszne pasmo tortur i krzywd. Po latach stoicznie znoszonych udręczeń fizycznych i moralnych została mu przyznana nagroda pokojowa Nobla, której głośno domagały się dlań setki tysięcy ludzi dobrej woli z całego świata.

Nazwisko jego już wtedy przechodziło w legendę, budującą dla jednych, niewygodną dla drugich. Dalsze jego koleje coraz trudniej było śledzić poprzez mgłę oficjalnych i nieoficjalnych, bardzo sprzecznych ze sobą, wiadomości. Pewne jest, że nie pozwolono mu wyjechać, aby osobiście odebrał dyplom nagrody Nobla, ani leczyć się zagranicą, i że nie otrzymał nigdy przeznaczonej dla niego dużej nagrody pieniężnej. Rzekomo widziano go uwolnionego, w sanatorjum pod strażą policji, lecz także w jednym z obozów koncentracyjnych.

Jeszcze jeden proces, najdziwniejszy: Trzecia Rzesza oskarża i skazuje adwokata-plenipotenta za sprzeniewierzenie sumy, należącej do Ossietzky'ego z tytułu nagrody Nobla. „Nasze szlachetne państwo" — woła przewodniczący sądu, — „broni prawa nawet takiego szkodnika...".

I wiadomość ostatnia: Ossietzky umarł w sanatorjum na zapalenie opon mózgowych.

O Niemcy, tę szlachetną głowę trzeba było chronić starannie od wszelkiej krzywdy, przygotować jej miękkie posłanie, uwieńczyć ją liśćmi dęba niemieckiego i gałązką oliwną — nie wydać jej butom żołdackim i zapaleniu opon mózgowych.

Śpij spokojnie, Carl von Ossietzky! Twoje Niemcy jeszcze wzejdą. Jeszcze wzejdzie ten świat, dla którego tak cierpliwie i sumiennie orałeś glebę surową, twardą, gorzką, aż do samego zmierzchu. I imię Twoje będzie jeszcze modlitwą w ludzkich ustach, gdy już zmieciona będzie hańba naszych dni, tak, jak zmiecione są oddawna rządy hunnów.

Nie, Ossietzky nie umarł.

Vindob

* * *

W poprzednim (44) numerze z dnia 1 maja: **Jerzy Boreisza**: Obcy nurt. — **Bogusław Kuczyński**: Dzisiejszy Borysław. — **Zygmunt Jarosz**: O powstaniu świata i pochodzeniu człowieka. — **Marjan Czuchnowski**: Burzyciele włościan. — **Marjan Promiński**: Powieść Balickiego. — **St. J. Lec**: Twórz satyryku! Ideał. — **Halina Górska**: Anna. — **Bolesław Dudziński**: Powieść o chłopach. — **Zofja Lissa**: Z teorji sztuki. — **Marja Koszyc-Szołajska**: Nowa powieść o wojnie. — **Bernard Szapiro**: Dzieje jednego z „paragrafów aryjskich". — **Jerzy Kamil Weintraub**: Wśród poetów. — Sprawa Stefanji Sempołowskiej. — W oczach Zachodu. — Oblicze dnia. — Korespondencja. — 8 stron.

CZESŁAW HALICZ

KRONIKA JEDNEGO ŻYCIA

Rok 1915. Dzienniki (oprócz kilku świstków na niemieckim żołdzie) przestały wychodzić, sale koncertowe, salony sztuki i teatry zamknięte, od długich miesięcy nie została wydana w Belgji ani jedna książka. Zdawało się, że w okupowanym kraju zamarło zupełnie życie umysłowe i artystyczne.

A jednak, rzecz dziwna, pod ową pozorną martwotą, jak pod lodową taflą, tętniło życie, nurtowała twórczość artystyczna i literacka, tem bardziej intensywna, że nie mogła się uzewnętrznić i skrystalizować w dokonanym czynie.

Artyści i pisarze nie mogli oddawać dzieł swoich pod sąd publiczności.

Obrazy, rzeźby, powieści i utwory sceniczne nie docierały do widzów, słuchaczy i czytelników, dla których były przeznaczone.

Zdawałoby się, że taki stan rzeczy jest wprost tragiczny i że niepodobna odnaleźć w nim czegoś korzystnego lub choćby pocieszającego. Było jednak zupełnie inaczej: malarze, rzeźbiarze, muzycy i literaci, którzy dotąd, świadomie czy nieświadomie, przystosowywali się do modnych kierunków, do gustów tej publiczności, która patrzy, słucha, czyta i... płaci, stali się bardziej bezinteresowni i szczerzy, jakgdyby dopiero teraz odnaleźli samych siebie. A przytem, była wówczas w tej braci artystycznej, skupiającej się teraz obok siebie, jak rozbitki na bezludnej wyspie, radosna świadomość, że żyje teraz na „zawrotnym punkcie historji", i naiwna wiara, że po straszliwych latach klęski atmosfera się oczyści jak po burzy i przyjdzie nieprzewidziana, ale napewno piękniejsza i szlachetniejsza nowa rzeczywistość i że ta nowa rzeczywistość stworzy nowe formy ekspresji artystycznej.

Tą nadzieją się żyło, o tem rozprawiało się szeroko i długo na naszych zebraniach, przy filiżance odwaru z jakichś tam liści, imitujących herbatę, i ciastkach, w których nie było ani jajek, ani masła, ani cukru, ani nawet prawdziwej mąki.

*

Na jednem takiem zebraniu, André Baillon, bezrobotny podczas wojny sekretarz „Dernière Heure", który tolerowany był w naszem „cenacle" jako mąż utalentowanej pianistki Germaine Lievens (nic dotąd nie wydał), zapytał nas niespodziewanie, czy chcemy, aby przeczytał nam rozdział z książki, którą właśnie ukończył. Chwila milczenia, zdumienie, zakłopotane uśmiechy i wreszcie wymuszenie grzeczne: „Owszem... owszem prosimy"...

I wówczas André Baillon przeczytał nam rozdział z pierwszej swojej powieści „Moi quelque part" (w drugiem wydaniu „En Sabot"), zatytułowany „La Mort d'une poule" („Śmierć kury").

Pojęliśmy wówczas wszyscy, że jesteśmy obecni przy narodzinach nowego, niepospolitego talentu.

— Jakież to plastyczne — pierwszy zabrał głos utalentowany malarz G. Rama — przecież z tej powieści można malować, jak z żywego modelu.

Poeta Paul Priest wypowiedział paradoksalne i śmieszne dla tych, którzy nie czytali tego fragmentu, zdanie: „Jakaż ta „śmierć kury" jest głęboko ludzka".

A potem kiedy szliśmy wszyscy, późnym wieczorem, przez puste ulice Brukseli, J. Harris, wówczas młody student, obecnie zdolny, mądry krytyk literacki, powiedział w zamyśleniu:

— Tak... to jest napisane z wielkim talentem, ale... ale...

— Ale co! Dokończże, ty poszukiwaczu południa o czternastej godzinie...

Ten człowiek będzie pisarzem dużej miary, mam jednak wrażenie, że jego możliwości twórcze będą ograniczone, że będzie chciał i mógł pisać tylko o rzeczach naprawdę przez siebie przeżytych.

— Nie pojmuję, co chcesz przez to powiedzieć — zaoponował Paul Priest — przecież każdy pisarz, nie grafoman i nie kabotyn, przeżywa to, o czem pisze.

— Nie zrozumiałeś mnie istotnie. Chcę powiedzieć, że twórczość André Baillona będzie miała ściśle *intymny* związek z jego osobistem życiem. Ten dziwaczny i bezwzględny człowiek będzie musiał przeżywać *realnie*, nie tylko w wyobraźni i uczuciu, o czem będzie pisał.

*

I stała się rzecz zaiste dziwna, słowa Harrisa były prorocze. Życie osobiste i twórczość Baillona zgmatwały się w jakiś osobliwy splot, którego niepodobna rozłączyć ni rozdzielić, gdyż jedno bez drugiego staje się dziwaczne i niezrozumiałe.

Baillon, pochodzący z bogatej, patrycjuszowskiej belgijskiej rodziny, odziedziczył w młodym wieku, jako student uniwersytetu w Luwanjum, kilka miljonów franków, które stanowiły w owych przedwojennych czasach olbrzymią fortunę. Pieniądze te *świadomie* postanowił roztrwonić w przeciągu kilku lat. Lecz sale gry, tory wyścigowe, wykwintne restauracje, buduary pań „ze świata i półświatka" wkrótce stały się dla niego monotonne, nieciekawe, a potem do obrzydliwości nudne.

Oddalił się od tego świata i zawarł znajomość, a później przyjaźń z t. zw. „gens du milieu": sutenerami, złodziejami i prostytutkami, i zdołał w jakiś niepojęty sposób w tem środowisku roztrwonić resztę swego wielkiego majątku. W tem właśnie środowisku znalazł materjał do swojej książki „Zonzon Pepète" („Zuzia Tyłeczek").

Doskonała znajomość środowiska, jędrny, czasami zbyt dosadny język, brutalność, w niepojęty jakiś sposób łącząca się z czułością, cechują tę jedyną w swoim rodzaju książkę.

„Zonzon Pepète" w niczem nie przypomina prostytutek z rosyjskich powieści Dostojewskiego, Andrejewa i Amfiatrowa, prostytutek, rozmyślających o życiu, o śmierci, o przeznaczeniu człowieka i o Bogu. Niepodobna jest również do pełnych djabelskiego temperamentu „filles de joies" François Carco. Jest nieświadoma i niszczycielska, jak żywioł, ograniczona, głupia i czasami, bardzo rzadko, niezwykle mądra. Jest psotna, jak chochlik, zła jak djabeł, czasami dobra i cicha, jak siostra miłosierdzia, w każdym calu żywa, prawdziwa i oryginalna.

Obok bohaterki, jeśli się tak wyrazić wolno, Baillon ukazuje cały szereg postaci z tego środowiska: zawodowych karciarzy, złodziei i sutenerów, ich burzliwą egzystencję, ich gwarę i zwyczaje, ich osobliwy „kodeks honorowy", w którego obronie nie oszczędzają ani własnego ani cudzego życia. „Zonzon Pepète" jest jedną z najlepszych w francuskiej literaturze współczesnej „powieści środowiskowych" („roman du milieu").*)

*

Olbrzymi spadek został roztrwoniony, pozostał tylko cudem ocalony, bo zapomniany w jakimś banku, drobny szczątek olbrzymiej fortuny — kilka tysięcy franków, za które Baillon kupuje mały wiejski domek z ogrodem i maleńką łąką. Skończyła się niespokojna i burzliwa młodość. Baillon postanowił skupić się i w samotności odnaleźć siebie samego. Aby zarobić na skromne życie, były miljoner i arystokrata postanowił ...hodować kury.

Do tej swojej pustelni zabiera ze sobą Marję, byłą służącą, później prostytutkę, którą znalazł ...przez ogłoszenie w gazecie.

Ten dziwaczny wybór mógł mieć najgorsze skutki, lecz Marja okazała się dobrą, łagodną i gospodarną kobietą: pracują razem w domu i w ogrodzie, razem hodują kury, żyją „po bożemu i po ludzku" z otaczającymi ich chłopami. Dorobkiem tego okresu życia jest książka „Moi quelque part" („En sabot").

Każdy rozdział tej powieści, z której Baillon przeczytał wspomnianą przedtem „Śmierć kury", jest jakgdyby oddzielnem opowiadaniem o zwierzętach, ptakach, roślinach, o prostych, spokojnych ludziach i najzwyklejszych wydarzeniach ich codziennego życia. Pod piórem Baillona wszystkie te sprawy i wydarzenia (choćby „Śmierć kury") stają się ważne i doniosłe, czasami wprost patetyczne. Baillon realizuje w tej książce niezmiernie trudne zamierzenie artystyczne: wyzbywa się zupełnie nie tylko balastu wszelkich książkowych reminiscencyj, wszelkich pokus literackich, ale nawet sposobu myślenia, właściwego inteligentom (analiza, synteza, skomplikowane asocjacje myślowe i uczuciowe). Ten wybitnie kulturalny i wykształcony pisarz potrafi teraz czuć i myśleć, jak prości, pierwotni niemal ludzie. Mało jest powieści tak wolnych od wszelkiego literackiego balastu jak ta piękna i głęboko ludzka powieść.

*

Sprzykrzyło się po kilku latach ciche życie na wsi, a raczej wyczerpał się narazie materjał twórczy — osobiste życie Baillona jest tak ściśle związane z jego twórczością — że nie wahając się, sprzedał domek na wsi i razem z Marją powrócił do Brukseli.

W życiu Baillona nastąpił najbardziej niepokojący i drażliwy okres. Maleńki kapitalik, uzyskany ze sprzedaży wiejskiego gospodarstwa, prędko się wyczerpał. Marja powraca do dawnego zawodu. A Baillon? Baillon żyje z „zarobków" Marji i gorączkowo pisze nową powieść „Histoire d'une Marie" („Historja jednej Marji").

Zdawałoby się, że Baillon nie rozumie całej, mówiąc oględnie, drastyczności swego położenia, lecz w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Baillon napewno zdaje sobie dokładnie sprawę ze swej sytuacji, lecz z tych właśnie przeżyć czerpie najprawdziwszy, bo przeżywany osobiście materjał twórczy, i jest tem tak pochłonięty, że poprostu zapomina o kodeksie obyczajowym i etycznym, o opinji ludzkiej, a nawet o obowiązującym każdego człowieka szacunku dla samego siebie.

Zapomina? A może tylko składa te wszystkie walory ludzkie i samego siebie w ofierze molochowi, zwanemu sztuką?

Marja jest zupełnie niepodobna do „Zonzon Pepète", typu urodzonej prostytutki.

Zonzon jest prostytutką z instynktu, z temperamentu i z powołania, w której czasami, na krótko, lecz silnie, odzywa się dobra kobieta, a nawet „un chique type" („porządny facet").

Marja to ofiara ustroju społecznego, dobra, uczciwa, łagodna, porządna i gospodarna kobieta z ludu, stworzona na żonę i matkę. Marja nigdy nie okradłaby „klijenta", bo to przecież jest „wstyd i wielki grzech".

Baillon kończy, po roku pracy, swoją przejmującą w bezwzględnej szczerości, ciekawą psychologicznie, o niepospolitym konflikcie dramatycznym, książkę.

Podczas wykańczania tej powieści Baillon poznaje piękną, mądrą i utalentowaną pianistkę Germaine Lievens i z ostatniemi stronicami „Historji jednej Marji" kończy się jego życie z tą właśnie Marją.

Baillon, za obopólną zgodą, rozstaje się z Marją, z którą zresztą — „aby zrobić jej przyjemność" — zdążył się ożenić, i znajduje pracę zarobkową — posadę sekretarza w „Dernière Heure" — i powraca do życia przeciętnego inteligenta. Bywa teraz w teatrze i na koncertach. Nie opuszcza ani jednego koncertu Germaine Lievens. I wówczas po młodzieńczych romansach z paniami „z świata i półświatka", po brutalnych awanturach z dziewczynami z ulicy, po kilkuletnim konkubinacie z Marją, Baillon poznaje, po raz pierwszy w życiu, prawdziwą miłość i, jak się sam wyraża, „odszedł Eros bez skrzydeł i przyleciał Eros skrzydlaty".

Już w ostatnich rozdziałach „Historji jednej Marji" występuje Germaine Lievens, jako wcielenie piękna i muzyki, Egerja, która pobudza i potęguje jego twórczość.

Daremnie stary cynik, „król urwipołciów" („le roi des voyoux"), jak go nazywali często przyjaciele, usiłuje bronić się przed miłością, daremnie twierdzi, że „wolałby zachorować na chorobę weneryczną, aniżeli na miłość, bo ta choroba jest bardziej ogłupiająca", Germaine Lievens nie tylko zawładnęła jego sercem, ale potrafiła do pewnego stopnia przeobrazić tego człowieka.

Jej zawdzięczamy najpiękniejsze karty w „Histoire d'une Marie" i w następnej powieści „Un homme si simple" („Tak prosty człowiek"). Po raz pierwszy w życiu „Eros skrzydlaty" dyktuje mu słowa natchnione, o wysokiem lirycznem napięciu, po raz pierwszy ten człowiek wyznaje niejako wbrew woli i przez zaciśnięte zęby, „że życie może być czasami boleśnie i przerażająco piękne".

Mamy wrażenie, że Baillon przezwyciężył siebie samego i odrodził się do nowego, do tego ogólnoludzkiego życia, w którem on sam będzie tylko drobnym pyłkiem, atomem we wszechświecie, że dojrzeje do nowej filozoficznej i społecznej koncepcji świata. Zaczynamy wierzyć, że ze świetnego kronikarza swoich własnych dziejów przeobraził się w wielkiego pisarza, w którego dziełach wre, kipi i przelewa się potężna wielorakość życia.

Przychodzi jednak katastrofa: ciemna chmura, która oddawna zawisła nad jego głową, rośnie, zgęszcza się coraz bardziej, ciemnieje, aż obłęd bierze w ostateczne posiadanie umysł i duszę André Bailona.

Lecz twórczość Baillona nie ustaje. Dla Baillona pisanie jest potrzebą wprost fizjologiczną, jak oddychanie, sen lub pokarm. Musi pisać, gdyż inaczej udusiłby się, jak człowiek, któremu nagle zabrakło powietrza. I wówczas następuje ciekawy, jedyny może w swoim rodzaju, fenomen twórczy. Wiemy wszyscy, że kilku wielkich pisarzy pisało podczas obłędu, np. Gerard de Nerval i Maupassant (ostatnie nowele „Les Horlas"). Lecz dzieła tych pisarzy mają cechy potężnej, olśniewającej nieraz, ale wybitnie chorej wyobraźni: dar obserwacji, ścisłość i krytycyzm zanikają niemal zupełnie.

U Baillona rzecz ma się wprost przeciwnie: twórczość obłąkanego pisarza nie wędruje po jakichś tajemniczych lub nieistniejących drogach, lecz czerpie materjał, jak zawsze u Baillona, z realnego świata — z najbliższego swojego otoczenia. Jest teraz w domu obłąkanych, w Salpetière, więc zaczyna odtwarzać, z całą wnikliwością, w sumiennym i spokojnym wysiłku twórczym, z zadziwiającą u obłąkanego człowieka trzeźwością, życie tego domu i jego mieszkańców.

Jego nie oszukają warjaci, tak jak oszukują często gości, dozorców, a nawet lekarzy. „Ja widzę ich nawskróś, tak jakby byli zrobieni z przeźroczystego szkła, ja znam moich braci-warjatów, tak samo, jak znam samego siebie i mój własny obłęd" — mówi w swoich powieściach, napisanych w Salpetière: „Un homme si simple" i „Cellule Nr. 1".

Z głębokiem współczuciem, lecz bez śladu egzaltacji i często ze swoistym humorem, opowiada o nich Baillon i obie wymienione powieści są nie tylko ciekawem, jedynem w swoim rodzaju zjawiskiem we współczesnej literaturze powieściowej, lecz niezmiernie cennym dokumentem dla psychologów i psychjatrów. I tutaj, jak w poprzednich swoich powieściach z życia wsi i ze środowiska mętów społecznych, współczucie zamaskowane jest drwinami, czasami cynizmem i szyderstwem. Ten „cyniczny i zuchwały pisarz", jak nazywali go niektórzy krótkowzroczni czy też „dobrze myślący" krytycy, zna tylko jeden wstyd — wstyd przed litością, tylko jeden lęk, że ludzie mogą wkońcu poznać, iż jego cynizm jest trochę podejrzany.

W tej wprost chorobliwej wstydliwości, która zmuszała go maskować cynizmem najszczersze, najgłębsze porywy serca, która paraliżowała u niego wszelkie wzloty entuzjazmu, przytłumiała i czasami przytępiała właściwy mu cierpki patos, leży, według nas, wyjaśnienie tej zagadki, dlaczego Baillon, świetny stylista, człowiek o dużej kulturze, żywotny i nawskróś oryginalny pisarz, nie zajął jednak stanowiska wśród największych pisarzy swojej epoki. Słusznie powiedział Guyau w swojej „Sociologie de l'art", że „wielki pisarz nie powinien obawiać się niczego — nawet śmieszności, bo tylko człowiek, który nie zna lęku, może dokonać wielkiego czynu lub stworzyć nieśmiertelne dzieło".

Baillon, ten odważny, ten wprost nielitościwy dla swoich wad i błędów człowiek, ukrywa wstydliwie porywy swego serca. Ten przesadny lęk przed „taniemi wzruszeniami", ten paniczny wprost strach, aby nie być posądzonym o troskę nad ludzką dolą, sprawiły, że świadomie nie daje w swoich powieściach żadnej syntezy etycznej lub społecznej.

Baillon chciał być tylko kronikarzem swojego własnego życia, lecz na szczęście, jego niepospolity talent przerósł marzenia i dlatego jego dorobek twórczy nie pójdzie w zapomnienie.

*) Omawiamy powieści Baillona nie w porządku bibljograficznym, lecz w kolejności poszczególnych okresów jego życia.

Skonfiskowano

IGNACY FIK

Proletarjat w literaturze polskiej

I

Proletarjat jako temat literacki wtargnął do literatury polskiej bardzo szeroką falą i odrazu spowodował szereg nieporozumień i uprzedzeń. Rozpoczęły się dyskusje przedewszystkiem w sprawie samego pojęcia tak zwanej literatury proletarjackiej. Zagadnienie formułowano w rodzaj tytułów, w których słowo proletarjat odmieniało się we wszystkich przypadkach: proletarjat-literatura, literatura proletarjatu, literatura dla proletarjatu, literatura o proletarjacie, literatura z proletarjatem i t. p. (T. Peiper). Chodziło o to, kto ją ma pisać, o czem pisać, dla kogo i w jaki sposób.

Chcąc rozwikłać wątpliwości, trzeba zacząć od stwierdzenia, że obecnie panująca kultura nie jest kulturą stworzoną przez proletarjat. Nie jest więc także proletarjacką oficjalna dziś literatura. Proletarjat posiłkując się poczuciem swej świadomości klasowej i ideą socjalizmu, dążącego do przebudowy świata, znajduje się dopiero w ofensywie, w okresie walki społecznej i kulturalnej. Cała istota tej walki polega właśnie na tem, że proletarjat nie jest dopuszczany do tworzenia kultury i literatury, a chce je tworzyć. Ale równocześnie z chwilą, gdy cele proletarjatu zostaną spełnione, w sensie zniesienia klas społecznych, trudno będzie mówić o literaturze proletarjatu. Będzie wtedy literatura ogólno-narodowa czy ogólno-ludzka.

Przy takiem postawieniu sprawy znika cały szereg dylematów, które są tylko pozorne. Przez literaturę proletarjacką można rozumieć wyłącznie i jedynie literaturę, która współpracuje świadomie i celowo w realizowaniu wysuniętych przez proletarjat zadań, dotyczących usunięcia niesprawiedliwości społecznej, zniszczenia ustroju klasowego, przeprowadzenia przebudowy społecznej w myśl ideologji socjalistycznej, będącej programem i wiarą dla walczących o nowy, lepszy ład świata. Krótko mówiąc, literaturą proletarjacką jest ta, która służy budowie kultury proletarjackiej. Nie musi to więc być literatura pisana przez urodzonych robotników, nie jest ona również przeznaczona dla samych robotników, tak jak przyszły ład nie będzie obejmował tylko samych robotników. A wreszcie nie musi to być literatura o samym proletarjacie.

W tych perspektywach zamyka się także rola współczesnej literatury proletarjackiej. Określił ją najlepiej Broniewski w ten sposób: „Rozbudzenie proletarjatu jest dziełem rewolucyjnych organizacyj proletarjackich, one też prowadzą go do boju. Poezja prolet. nie poprzedza rozbudzenia sił prol., ale jest właśnie wynikiem rozbudzenia się proletarjatu i wynikiem jego politycznej walki. Panowanie nad życiem, rozszerzenie go i spotęgowanie do tych granic, które zakreśla genjusz ludzki i ustokrotnione maszyną ramię człowieka — oto cele, ku którym wraz z miljonową masą zmierza poezja proletarjacka, natchniona logiką czynu sięgających po świat warstw proletarjackich. Poeci tego wyzwalającego się świata tworzą nie dla proletarjatu ale jako proletarjat. Praca ich jest wyrazem życia, a nie jego zapowiedzią“ („Wczoraj i jutro poezji w Polsce“).

Proletarjat od swych pisarzy wymaga więc tylko jednego: solidarności w odczuwaniu świata i życia i współpracy w realizowaniu wizji przyszłej rzeczywistości społecznej, wymarzonej przez proletarjat.

Druga serja nieporozumień dotyczy pytania, jak powinna działać literatura proletarjacka. Gdy utożsami się ideologję proletarjatu z socjalizmem, odpowiedź jest łatwa. A więc przedewszystkiem nie burzy ona zdobyczy cywilizowanych klas panujących. Ktoś powiedział: „Możemy budować socjalizm tylko z tego, co stworzył kapitalizm“. Oczywiście nie znaczy to, że ze wszystkiego i tak samo. Byłoby wbrew światopoglądowi materjalizmu dziejowego sądzić, że kultura proletarjacka zacznie od zera. Że więc należy zmarnować wszystko, co było dotychczas. A jednak początkowo różni pseudo-marxiści, opętani szałem buntu, utożsamiali swą twórczość z wyrazem takiego anarchistycznego niszczycielstwa.

Inne fałsze i insynuacje, jakie wytacza się pod adresem literatury proletarjackiej, wynikają z zupełnego analfabetyzmu w znajomości socjalizmu. Są to zarzuty w rodzaju, że literatura proletarjacka ogranicza się do problemów ekonomicznych, że opiera się na założeniach fatalizmu, że lekceważy indywidualności ludzkie, a propaguje zmechanizowane kolektywizmy, że poruszać ma tylko aktualności bieżące, że przeciwna jest liryzmowi czy fantastyce, że operować ma tonem wyłącznie rewolucyjnym i agitacyjnym, że ma wreszcie pisać brutalnie i prymitywnie.

Owszem, spotykamy takie skrzywienia. Zjawiają się one głównie w twórczości pisarzy, którzy z socjalizmem nie wiele mają wspólnego. Co do problemu jednostki, socjalizm walczy o jej pełny rozwój w skali powszechnej. Tendencje kolektywistyczne kultury socjalistycznej oznaczają walkę z zasadą indywidualizmu, dzielącą ludzi, zakładają natomiast troskę o rozkwit indywidualności w oparciu o współdziałanie jednostek w dążeniu do wspólnego celu. Z innych przesądów przeciwstawić się przyjdzie utożsamianiu poezji proletarjackiej z t. zw. poezją pracy. Dla robotnika praca nie jest fetyszem, ani celem, jest środkiem. Nie ubóstwia on jej, bo zna jej ciężar, który go gniecie. Zachęca do pracy zazwyczaj ten, kto na niej pasorzytuje.

Nieporozumieniem również są pretensje, że pisarz proletarjacki powinien tak pisać, żeby go zrozumiał każdy obecny robotnik. Przeciwnie, trzeba doprowadzić do tego, żeby każdy robotnik mógł zrozumieć każdy utwór literacki. Nie jest to zadanie literatów. W ustroju kapitalistycznym wśród proletarjatu są analfabeci, ludzie ciemni i głupi — są, bo takimi zrobił ich właśnie ten ustrój, nonsensem jest żądać, aby i literatura była na tym poziomie.

Przeciwstawić nakoniec trzeba się sugestjom, które, przyjąwszy tezę, że „proletarjusz nie różni się niczem od innych ludzi, tylko brakiem pieniędzy“, domagają się, aby pisać dla niego, jak dla innych ludzi, o miłości, kwiatkach i gwiazdach. Nie! Cała wiara w lepszą przyszłość założona jest przecie na pojęciu bohaterskich pierwiastków psychiki proletarjatu, pozwalających mu na pierwszym planie stawiać sprawę walki, toteż literatura proletarjacka ma pierwszy obowiązek te pierwiastki rozbudzać i dawać im wyraz.

Odrębną kategorję dylematów stanowi sprawa formy artystycznej literatury proletarjackiej. Niektórzy poeci awangardy całą rewolucyjność społeczną literatury zakładają na rewolucjonizowaniu formy. Sądzą, że poezja służy wystarczająco sprawie proletarjatu, jeśli wprowadza nowe sposoby pisania, wynikające z ducha nowoczesności. Jest w tem mniemaniu pomieszanie dwóch spraw: postępu-kultury i postępu-cywilizacji. W nowych formach literackich odbija się przedewszystkiem postęp cywilizacji, która nie jest kategorją klasową. Cywilizacja jest tylko narzędziem, służącem danej klasie. Stąd też nowoczesna forma artystyczna nie ma odrazu przynależności klasowej i może być doskonale własnością poetów rewolucyjnych, jak i reakcyjnych. A nawet przeważnie służy tym ostatnim, jeśli się zważy, że do szczytowego dorobku cywilizacji dopuszczone są przedewszystkiem klasy posiadające. Z tego wniosek, że awangarda artystyczna nie jest równoznaczna z awangardą społeczną. Najlepszych zresztą dowodów dostarcza historja. Futuryzm włoski był oficjalnym kierunkiem faszyzmu.

Oczywiście, literatura proletarjacka może popełnić wiele błędów. Ale też chodzi o rzecz wielką: o zmienienie świata i człowieka. Łatwiej burzyć, walczyć na zewnątrz, zwyciężać. Trudniej oderwać się od starej kultury, w której się żyje i tworzyć nową. Łatwiej o poglądy, trudniej o ich wyraz artystyczny.

II

Dosyć obszerna literatura związana z tematem proletarjatu da się podzielić według trzech kategoryj pisarzy, w zależności od ich sposobu podejścia do zagadnienia. Stanowią je: 1) t. zw. populiści, 2) marxiści, 3) różnego rodzaju indywidualiści.

Populiści są odmianą i kontynuacją dawnych naturalistów, którzy teraz przesunęli się bardziej ku „dnu społecznemu“. Świadomy program stworzyła taka grupa we Francji w r. 1924, kiedy to L. Lemmonier wydał manifest, przeprowadził szereg ankiet i ustanowił nagrodę (pierwszą otrzymał Romains). Populistom francuskim chodziło o przejęcie tematów społecznych do sztuki i zainteresowanie się „dnem społecznem“. Przeciwstawili się oni naturalizmowi o tyle, że ten „w ludziach widział tylko trzodę zwierzęcą, wydaną na łup instynktów i apetytów“, nie dostrzegał zaś „malowniczej prostoty jego życia“. Charakter tego kierunku jest typowo mieszczański. U nas odpowiednik populistów bardziej naturalistyczny i radykalny reprezentować może grupa pisarzy tworząca zespół „Przedmieście“. Grupa ta powstała w r. 1934 i oprócz odrębnych utworów wydaje kolektywne zbiory: „Przedmieście“, „Pierwszy maja“. Członkami zespołu są: Nałkowska, Boguszewska, Kornacki, Krahelska, Sydor Rey, W. Kowalski, Brzoza i inni. W programie swym zapewniają o „psychicznem i uczuciowem zaangażowaniu się po stronie człowieka pracy, jego cierpień, zmagań i walk“. Składając hołd Zoli, chcą zerwać z fantazją i fikcją, kierować się pasją dokumentatorstwa, i bez deklamacji na temat krzywdy społecznej ustroju klasowego, bez tendencji odtwarzać rzeczywistość.

To bezinteresowne stanowisko wyznaje w praktyce cały szereg innych pisarzy i poetów, nie związanych formalnie z tą grupą, tak, że w obecnej chwili na terenie powieści typ populisty jest panujący. Trudno właściwie literaturę tę podciągnąć pod kategorję społecznej, jest to właściwie literatura obyczajowa. Z różnych pisarzy tego typu wymienić można: J. Zawieyskiego: „Gdzie jesteś, przyjacielu?“, „Daleko do rana“, M. Grabowską: „Żółty dom“ (opisana kamienica wielkomiejska i życie w niej), J. Waśniewskiego: „Na podszybiu“ (życie sztygara, rabunkowa gospodarka kapitału, katastrofa kopalni), J. Kornagę: „Robotnicy“ (sceny rodzajowe, satyra na rozbijaczy ruchu robotniczego), J. Jaremskiego: „Włókniarze“ (epos robotniczy wierszem o Łodzi), G. Jarecką: „Przed jutrem“ (sprawy bezrobocia, warszawscy robotnicy fabryczni), Kornackiego „Gołębie“ (dramat na temat bezrobocia), K. Muszałównę: „Margines nafty“ (bezrobocie w Borysławiu), P. Hulkę-Laskowskiego: „Mój Żyrardów“ (pamiętnik i reportaż), H. Górską: „Ślepe tory“ (nędza bezrobotnych i problem filantropji), i wielu innych. Dobrze zapowiada się cykl Jareckiej „Ludzie i sztandary“, wprowadzający obszernie środowisko przedwojennego proletarjatu rewolucyjnego. Dziecko proletarjackie wprowadza Górska: „Druga brama“, Szemplińska: „Narodziny człowieka“, Brzoza: „Dzieci“ i w. i. Gdzieindziej wysuwa się na pierwszy plan właśnie tendencja jak u Drzewieckiego „Kwaśniacy“ (eksmitowani robotnicy budują własny barak) czy Wasilewskiej „Oblicze dnia“. Przy sposobności wskazać trzeba na konsekwencje stanowiska populistów. Opis biedy i nędzy pobitych przez los i ustrój i biernie zdesperowanych ludzi może powodować psychozę zniechęcenia i rezygnacji. Tymczasem ważna jest nie tylko prawda szczegółów i przypadków, ale przedewszystkiem prawda idei, w którą się wierzy. Nie potrzeba mnożyć w nieskończoność dokumentów, donoszących jedynie jak jest, trzeba pokazać także perspektywy akcji o zmianę tej rzeczywistości.

Mniej sympatyczna jest grupa pisarzy indywidualistów, którzy dla różnych celów zabierają się do tematów proletarjackich. Wspólną ich podstawą jest upraszczanie, stylizowanie i deformowanie właściwej rzeczywistości.

Bandrowskiego „Czarne skrzydła“ są zwykłym paszkwilem na świat robotniczy. Kaden nie mając żadnej wiedzy socjologicznej, żadnej idei i postawy moralnej, operując czczem pojęciem „prostego człowieka“ i sofizmatem humanizmu bez określonego sensu, zanurza robotników w jakiemś mistyczno-biologicznem błocie. Świat proletarjatu reprezentuje u niego mistyk Szymczyk, fanatyk Duś, apostoł Martyzel, sadysta Supernak, krasomówca Mieniewski, karjerowicz Drążek, intrygant Koza. Socjalizm utożsamiony jest z cynizmem, rutyną, szacherką, karjerowiczostwem i niewyżytym seksualizmem. Przedstawiciel kapitału Coer również traci wymiary ludzkie, stając się jakimś zaświatowym symbolem, demonem czy przeznaczeniem. Temu wszystkiemu przeciwstawiony jest Tadeusz, młodzieniec bez odpowiedzialności i jakichkolwiek zainteresowań społecznych, ale za to z — sercem.

W atmosferze ideologji i stylu Kadena wyrósł paszkwil W. Wohnuta „Sprawa i miłość“. Jest to brzydkie grzebanie w personaljach konkretnych działaczy pepesowskich w Krakowie. Jako pozytywne typy wychodzą niejaki Piotr, kochanek trzech kobiet i konfident wywiadu R., uważany przez autora za personifikację sumienia narodowego i idei państwowo-twórczej, Motyw strajku przedstawiony został melodramatycznie. Żeby zwyciężyć, robotnik idzie dobrowolnie na śmierć. Ta droga mesjanistycznej ofiary jest niepedagogiczna.

Inną odmianę stanowią pisarze dydaktyczni. Ci wyławiają w proletarjacie jednostki, odznaczające się mieszczańskiemi cnotami i stawiają je jako wzór do naśladowania. Przykładem mogą być „Przeprowadzka“ i „U mety“ Rostworowskiego. Proletarjusz Felek ma moralną krzepę, dzięki której może zrobić karjerę inteligent Franek. Systematyczniej jeszcze to stanowisko reprezentuje Rusinek w cyklu „Burza nad brukiem“ i „Człowiek z bramy“. Według autora budowa społeczna jest dobra i nienaruszalna. Ci na dole mają przecie zawsze szanse znalezienia się na górze! Oczywiście trzeba to robić umiejętnie. By uniknąć ryzyka potknięcia się, trzeba mieć „czyste ręce“ i wierzyć w szczęśliwy przypadek: w tajemniczego pana z pociągu, który jak deus ex machina poprowadzi na drogę karjery. Potem kiedyś można złożyć wizytę w dawnem mieszkaniu stróżowskiem, by widzieć, jaką się drogę przebyło i porozmawiać życzliwie z tymi, którym się nie udało. Jest bowiem grzechem wstydzić się biednych!

Są wreszcie pisarze, którym temat proletarjacki potrzebny jest dla przeżyć estetycznych. Jedni robią to sentymentalnie, rozczulając się nad nędzą, drudzy apokaliptycznie, strasząc wizjami końca świata, innym, jak Tuwimowi, potrzebny jest proletarjat, żeby wprowadzić do wiersza słownik mocnych słów z ulicy.

Jest zjawiskiem zastanawiającem, że powieściopisarze o wyraźnym światopoglądzie socjalistycznym nie podejmują tematów o proletarjacie. Dość wymienić czołowych przedstawicieli lewicy, jak Strug, Kruczkowski czy Czuchnowski. Można to w dużym stopniu wytłumaczyć środowiskiem, z którego pochodzą ci pisarze. Za mało u nas jest robotników, którzyby potrafili zdobyć poziom kulturalny, umożliwiający im literackie pisanie. Pisarze, pochodzący głównie ze wsi lub inteligencji, nie umieją przeżyć obcego dla nich świata.

Łatwiej zdobyć się na wiersz. Toteż poetów lewicowych mamy obecnie bardzo wielu. Starsze pokolenia reprezentowali: bardzo programowy i dogmatyczny St. R. Stande („Młoty“, „Rzeczy i ludzie“, „Napewno — my“), lubiący aktualizację i symbolikę W. Wandurski („Sadza i błoto“ i „Śmierć na gruszy“), a przedewszystkiem Wł. Broniewski („Wiatraki“, „Troska i pieśń“), o którego wierszach mówi Zawodziński: „To wiersze-dynamit: jak on proste w swym składzie i jak on kruszące. Zwięzłe równie jak proste, sugestywne bezpośredniością i szczerością patosu. Wspaniały gniew bojownika i umiłowanie jasnych dlań celów“. Ci trzej poeci wydali wspólny tomik „Trzy salwy“, gdzie tak określili swe credo: „Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą. Gniew, wiara w zwycięstwo i radość — radość walki — każą nam pisać. Walczymy o nowy ład społeczny“. Zbiorowem wydawnictwem była także buntownicza „Ziemia na lewo“ Brunona Jasińskiego i An. Sterna.

Nowe pokolenie indywidualizuje się coraz silniej. Pod względem formy spotkać możemy oba bieguny: skamandrycki i awangardowy. Urozmaicone są tony i gatunki literackie. Wiersze Grota („W przededniu“) mają formę agitek. Potrzebom bieżącym służą wiersze Ciepilińskiego Cz. („Słowo po drutach“) i Szymańskiego E. („20 miljonów“). Tematy polityki światowej porusza Wygodzki St. („Chleb powszedni“ i „Żywioł liścia“). Satyrę uprawia L. Pasternak i Lec. Przeżycia więzienne odtwarzają L. Pasternak („Dzień pochmurny“), A. Wolica („Młoty nad światem“, „Z kamiennego domu“), Wit J. („Lampy“). Istnieją próby poematu. Szenwalda „Scena przy studni“ przedstawia na tle szkoły konflikty chłopca ze środowiska proletarjackiego, Czuchnowskiego „Reporter róż“ ma scenę pogrzebu robotnika i manifestacji rewolucyjnej, St. R. Dobrowolskiego „Powrót na Powiśle“ jest przykładem tworzenia rodowodu rewolucyjnego dla proletarjatu poprzez wspomnienia o jego przeszłości. Rolę takich historycznych dokumentów spełniają także liczne wiersze Broniewskiego i „Z kamiennego domu“ Wolicy (o „Proletarjacie“).

Inni poeci wypowiadali swe sympatje do proletarjatu: jak Peiper („Naprzykład“), Szemplińska („Wiersze“), Maliszewski („Czarna Beatricze“), Rydzewska („Miasto“), Jerschina („Kilofy i głazy“) i w. i. Pięknym wyrazem głęboko przeżytych wzruszeń społecznych są niektóre wiersze Jastruna i Piwowara. Wiele dobrych wierszy i opowiadań znaleźć wreszcie można na łamach pism lewicowych, z których większą rolę odegrał „Miesięcznik literacki“, „Lewar“ i inne.

Przed ideową literaturą proletarjacko-socjalistyczną jest jeszcze przyszłość. Zgodzić się jednak wypadnie ze słowami Irzykowskiego, że socjalizm udowodnić trzeba obszernością swego horyzontu, trzeźwością diagnoz, prawdą i wyobraźnią we wszystkich dziedzinach, intensywnością uczucia. Nowi pisarze idą wyraźnie w kierunku takiego pogłębienia.

OŚWIADCZENIE SKIEROWANE DO ENDEKÓW

Od nich świętość bije jak łuna,
oni — wielcy, czyści, wspaniali,
pierś wypięta, noga jak struna,
w sercu czystem — krew czysta wali,
— a ja jezdem — „żydokomuna“...

Oni — honor noszą w swem godle,
oni — cnota, męstwo i sława,
oni — naprzód, równo, naodlew!
— lewa — prawa! lewa i prawa!
— a ja jezdem zdrajca i podlec.

Z nich nikt nie wie, co zysk i business,
nikt z nich nie wie, co to jest drańśtwo,
oni tylko — honor i blizny,
rubież, sztandar — tak, moi państwo,
to ja jezdem zdrajca ojczyzny.

Bo ja szyb nie tłukę, jak oni,
bo nikomu w zęby nie dałem,
bo nie umiem ojczyzny bronić
pięścią, pałą, wogóle — ciałem,
ja — rab Żydów i parszykonik.

Bo mnie fiume, proszę mi wierzyć,
czy był z arjów Adam lub Ewa,
bo mnie na tem nic nie zależy,
bo mnie mózgu krew nie zalewa,
bo ja jezdem bydlak i zwierzę.

Bo mnie mierzi zawsze na mieście
ludzkie stado ryczące w tłumie,
w manifestacyjnym proteście,
bo ja wyć ani ryczeć nie umiem,
bo ja inny, niż wy jezdeście.

Ani słabszych nigdy nie biłem,
ani wierzyć — w nic nie wierzyłem,
ani nigdy w stadzie nie żyłem,
a natomiast będę i byłem
rzadko frontem, przeważnie tyłem.

I gdy tyle serc się dziś zrywa,
mnie się wciąż na rzyganie zbierało,
gdy słyszałem: — Hoch! Heil! Evviva! —
mnie za dużo tego i mało,
bo ja jezdem owca parszywa.

Choć nietknięty przykrym obrzędem
z arjów jezdem i krew mam „czystą“,
choć nie byłem pod żadnym względem
bolszewikiem ni komunistą,
„żydokomuną“ jednak będę
z chęcią jawną i oczywistą
z poważaniem —

Tadzio Hollender —

ZBÓJE I CHŁOPI

Nowa książka wybitnego działacza ludowego, więźnia brzeskiego, Józefa Putka, który w ostatnich latach poświęcił się żywej pracy nad historją ziemi śląskiej, autora głośnej publikacji „W mrokach średniowiecza“, jest nie tylko pogłębieniem i rozszerzeniem jego prac dotychczasowych, ale zarazem wyczerpującą monografją ziem stanowiących Śląsk Oświęcimski, Księstwo Zatorskie, Żywiecczyznę — kraj będący w początkach polskiej historji udzielnem państewkiem Piastów śląskich. Relacja historyczna Putka „O zbójnickich zamkach, heretyckich zborach i oświęcimskiej Jerozolimie“, jest owocem bardzo skrupulatnych i rozległych poszukiwań archiwalnych, popartych poza materjałami źródłowemi również bogatą literaturą przedmiotu, podaną przejrzyście przez autora bądź w przypisach, bądź ujętą w bibljograficzny indeks rzeczowy.*)

Cechą ujmującą nowej książki Putka jest jasność układu i dokonały, konkretny język. Każdy rozdział ma swoją linję przewodnią, każde zdanie zawiera rzetelne fakty. Putek umie nie tylko opowiadać, umie też przekonywać, zna dowody, jest prawnikiem. Jego argumentacja przypomina mowę uczciwego adwokata, który broni prawdy. Putek nie oskarża nikogo, wskazuje dowody i broni prawdy. Takie stanowisko pisarskie musiało oczywiście wpłynąć dodatnio na powstanie książki.

*

Ziemia oświęcimska związała się ze Śląskiem, a zwłaszcza z księstwem opolskiem i odeszła przez to od Polski na kilka wieków przez chrzest książątka Kazimierza, syna pana i księcia na Opolu, którego trzymał do chrztu Kazimierz Sprawiedliwy w r. 1179 i chrześniakowi podarował gród oświęcimski, bytomski i osady Zator, Siewierz i Pszczynę. Odtąd ziemia oświęcimska wcielona do Śląska opolskiego przechodziła różne koleje; przyłączono do niej nowe tereny, powstało nowe księstwo z siedzibą w Zatorze, i wróciła do Polski w drodze przymusowego wykupu przez króla polskiego dopiero w r. 1564.

Przez ten okres zarówno księstwo oświęcimskie, jak i zatorskie i Żywiecczyzna przechodziły burzliwy ferment; były lennem królów czeskich, przechodzącem z rąk do rąk swoich władców, którzy zmieniali panów i sojuszników zależnie od tego, który z nich mógł napełnić lepiej chudą kiesę książęcą. Okres feudalny na tej ziemi był bardzo zróżnicowany, poszarpany. Biły się tu wpływy panów polskich, czeskich i niemieckich; ludność mieszana, prawo płynne, niejednolite, różne, pstre i bez stałości. Osady na prawie polskiem i na niemieckiem, sądy bardzo niestałe. Jedno było tylko pewne i niezmienne: panowie feudalni i ich prawo nad poddanymi, złożonymi z różnych narodowości: Polaków, Słowaków, Czechów, Niemców, Węgrów, Rusinów, Wołochów, Cyganów!

Na samym szczycie był książę pan, koło niego szlachta jak wieniec; pod spodem warstwa ludowa jak nurt niespokojnej rzeki, ruchliwa, płynna, wielojęzyczna. Na tym ludowym spodzie spoczywała ciężka władza panów, ich prawa, ich ambicje i dążenia. Książę wespół ze szlachtą kierował kolonizacją, sprowadzał ludzi, obdarzał ich ziemią i ciągnął z tego zyski, podatki i opłaty. A pleban przez szlachcica obsadzony również wyciągał rękę po „stołowe“, „meszne“, dziesięcinę, niczem pan drugi. Pan brał za to, że dawał ziemię, ksiądz brał znów za to, że odprowadzał do ziemi.

Ziemię oświęcimską kolonizowano ustawicznie; szlachta obsadzała na niej wszystkie możliwe narodowości; byli szlachcice niemieccy, polscy, litewsko-ruscy i inni. Było im ciasno, trzeba im było terenów, nowych zysków, nowych dochodów. Chłopi, osadzeni na prawie polskiem lub niemieckiem, sumiennie spełniali obowiązki, ale tego panom było mało. Panowie się dusili; świeccy i kościelni rywalizowali ze sobą, aby tanim kosztem zdobyć majątek. Panowie świeccy zdobywali go przez rozbój, zbójectwo zwyczajne, zaś panowie kościelni przez fałszerstwa dokumentów, podrabianie aktów nadania czyli lokacji.

*

Położenie chłopów w średniowieczu było straszne. Nie tylko nie mieli pewności swego losu prawnego, ale pominąwszy zbójectwa będące na porządku dziennym, mogli być na podstawie sfałszowanego dokumentu przekazani innemu panu i wówczas zdarcie z nich dziesięciny na rzecz nowego patrona opatrzności było nie do uniknięcia.

Fałszowały dokumenty Benedyktynki ze Staniątek, oraz władze kościelne, które unicestwiały patronaty ludowe nad probostwami. Prawdziwymi mistrzami okazali się jednak opaci benedyktyńscy z Tyńca. Opaci tynieccy sfałszowali po mistrzowsku dokumenty na wsi Radziszów, Pozowice i Łączany. Ponieważ czcigodnym ojcom nieraz przy sporach sądowych brakowało dokumentów, przeto mieli u siebie majstrów zaprawionych do podróbek. Był taki np. opat Stanisław Bogdal, który sporządził fałszerski dokument o rzekomem nadaniu jeszcze przez księcia Władysława Opolskiego wsi Łączany klasztorowi w Tyńcu, ale ponieważ to się ojcom widziało za mało, więc dołączyli jeszcze Zorzów, Radziszów, Wolę Radziszowską i opat Baranowski podsunął ten dokument królowi Zygmuntowi Staremu koło 1519 r. do... „potwierdzenia“.

Oprócz tych misjonarzy na terenie Śląska oświęcimskiego działały i inne klasztory, które były mniej głośne — Cystersi, Dominikanie i Norbertanki. Norbertanki wsławiły się w czasie najazdu szwedzkiego. W klasztorze ich na Zwierzyńcu pod Krakowem miał swą kwaterę szwedzki generał Wirtz, którego kochanką była... ksieni klasztoru, pobożna mniszka Dorota Ługowska, która „miała swoje dziewki, które... szpiegowały“, jak mówi współczesny kronikarz.

*

Chłopi osadnicy często dostawali się pod panowanie band zbrojnych, które napadały nie tylko na kupców i niszczyły szlachtę, ale ofiarą ich porachunków padały przedewszystkiem chłopskie osady. Terenem, gdzie najwięcej zbójectwo dawało się we znaki, była Barwałdczyzna i Żywiecczyzna, które w połowie XV wieku były we władzy Skrzyńskich.

Do najgłośniejszych raubritterów należał Dzierżko Rytwiański i kobieta Włodkowa Skrzyńska. Dzierżko Rytwiański był synem wojewody łęczyckiego i bratanka arcybiskupa gnieźnieńskiego Wojciecha Jastrzębca. Okradł najpierw tego arcybiskupa, potem hulał rabując w Polsce, na Śląsku i na Węgrzech pod łaskawem okiem króla polskiego, który się cieszył, że Dzierżko niszczył księstwo zatorskie, kiedy zaś zbójnik zajął Zator, wypędził księcia i zamek „oddał“ pod władzę króla Władysława, król mu zapłacił za poniesione „trudy wojenne“. Oczywiście, że nie było wtedy trudno zostać przy uprawianiu rozboju również „zbawcą ojczyzny“.

Wybitnym zbójem był w Barwałdczyźnie w r. 1434 Mikołaj Siestrzeniec Kornicz, pozatem sądecki kasztelan Krystyn z Koziegłów, Piotr Polak z Niempczy, Stosz, Czapek, Jelcz, Katowski, wreszcie sławna Włodkowa Skrzyńska, której wojsko królewskie długo rady dać nie mogło. Legenda o niej trwa po dzień dzisiejszy.

*

W tym właśnie niespokojnym okresie, w latach panowania Władysława Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka, kiedy na ziemiach polskich szalała anarchja prawna, obaj królowie wyzyskiwali ją i posługiwali się zbójami dla własnych celów koronnych. Kler prowadził swoją politykę i patrzył krzywo na pobłażliwość wobec husytyzmu, który przez swą naukę zagrażał dochodom duchowieństwa i dlatego kler szukał okazji, aby się porachować z husytami, przeważnie Czechami, choć polskich wyznawców husytyzmu było także wielu. Szlachta prowadziła swoją politykę i król swoją. Te trzy polityki nie były w zgodzie ze sobą, choć się chciały sharmonizować. Ale tak król, jak kler i panowie chcieli się wzbogacić przez rozbój i na rozboju opierali swe plany.

Pierwsza okazja nadarzyła się klerowi. Oto w r. 1430 uderzyła w Kraków i Polskę wiadomość, że obrabowano klasztor jasnogórski w Częstochowie, popełniono świętokradztwo i uszkodzono obraz Matki Boskiej, odarto go ze złota i klejnotów i oczywiście jako sprawców podano husytów. I „lud“ krakowski mordował Czechów i nawet miano wypowiedzieć — wojnę Czechom. Gdy zemście kleru na husytach stało się zadość, oddano pod sąd właściwych sprawców rabunku, dwóch zbójów: Jakóba Nadobnego i Jana Kuropatwę, którzy byli owymi legendarnymi husytami. Dobry zbój nie zginie, bo będzie potrzebny tym razem samemu... królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. Ten właśnie Kuropatwa, za którego zostali wyrżnięci przez „pobożny“ tłum krakowscy Czesi i husyci, nęka z polecenia królewskiego Oświęcim i zmusza do kapitulacji jego właściciela, księcia Janusza, za co Kuropatwa mianowany został przez króla oświęcimskim burgrabią, król zaś zakupił księstwo oświęcimskie pod terrorem jego band zbrojnych.

*

Dzieje dawnego Śląska Oświęcimskiego, Zatorszczyzny i Żywiecczyzny, są niesłychanie znamienne dla historji Polski. Wszystkie błędy królewskiej, piastowskiej polityki dynastycznej i państwowej na tym właśnie terenie zagęściły się z wyjątkową natarczywością. Tu był początek zła, które od Piastów Śląskich trwało do rozbiorów Polski, pchając Habsburgów na ziemię żywiecką, do dziś dnia niestety należącą do austrjackich arcyksiążąt.

Marjan Czuchnowski

*) **Dr. Józef Putek. O zbójnickich zamkach, heretyckich zborach i oświęcimskiej Jerozolimie.** Okładka W. Batysa. Kraków, Bibljoteka Kresów Śląskich, 1938; str. 8 nl. i 263 i 1 nl. i 74 ilustracyj.

MGŁA I PRAWDA

Moja lektura wielkiej księgi*) Alfreda Neumanna o epoce Nepoleona III zbiegła się z oglądaniem filmu Sacha Guitryego p. t. „Perły korony“. Jest to film w tym stopniu historyczny, w jakim historyczne są nowoczesne **vies romancèes** — owe opowieści historyczne, ni to biografje, ni to monografje, operujące dokumentem i anegdotą, materjałem źródłowym i apokryfem, nauką i fantazją, prawdą i plotką, a nadewszystko usiłujące zapomocą psychologji (i psychoanalizy), której sprawdzianem ma być zapewne intuicja autora, prześwietlić jakąś epokę i jakąć głośną postać historyczną. Historyk naukowiec, z wykształcenia i zamiłowań, obeznany z t. zw. metodą badań historycznych, nigdy nie będzie pisał tego rodzaju monografij; urodzony powieściopisarz — literat z krwi i kości — również się do nich nie zabierze: woli poprostu powieść historyczną w dawnym stylu, choćby nawet Dumasa, któremu przecie niesposób odmówić ani intuicji, ani sztuki prześwietlania przeszłości, ani wreszcie umiejętności budzenia zainteresowania w czytelniku, co nie jest sprawą w literaturze podrzędną. **Vies romancées** pisuje szczególny rodzaj literatów, równie niezdecydowanych w swej twórczości, jak gatunek, który uprawiają: pół-historyków i pół-dyletantów, pół-uczonych i pół-powieściopisarży; aby stać się całym historykiem, brak im zapewne specjalnego wykształcenia; aby być całym powieściopisarzem, nie dostaje im zapewne talentu i wyobraźni.

W filmie Sacha Guitry‘ego ukazuje się dwukrotnie Napoleon III. Po raz pierwszy — obok swego wielkiego stryja, w momencie jego abdykacji, jako siedmioletni chłopczyk: symboliczne zestawienie dwóch Napoleonów, Wielkiego i Małego — jakby powiedział Wiktor Hugo. Wielki Napoleon daje Małemu na pamiątkę i jako talizman tajemniczą perłę, i przepowiadając mu (co jest miłym żartem Sacha Guitry‘ego), że będzie kiedyś panował, pyta (ach, jakaż finezja!) obecnej matki Małego — królowej Hortensji, czy ten Mały jest inteligentny. Po raz drugi, w tej samej sali w Fontaineblau, w pięćdziesiąt lat potem Napoleon III darowuje perłę stryjowską cesarzowej Eugenji, przypominając, w jakich okolicznościach ją otrzymał. Starszy pan, świetnie ucharakteryzowany w stylu epoki (Offenbach jej wyrazicielem), z klasyczną hiszpanką i ostremi końcami wąsów, opowiada, jak wielki cesarz zapytał, czy on jest inteligentny: i odtąd pytanie to (offenbachowski gest empereura) powtarza cała Europa, napróżno usiłując znaleźć na nie odpowiedź. Znakomita scena, prześwietlająca rzeczywiście ironicznie historję, ilustruje operetkowo, po offenbachowsku, tę cechę Napoleona III, którą określano jako „sfinksowość“. Napoleon III był wieczną zagadką w swej polityce i wszystkich swych poczynaniach. Wiktor Hugo albo Rochefort rozwiązywali tę zagadkowość w sposób bezwzględny: była to małość. Czy on aby jest inteligentny? — wtóruje im żartobliwie Sacha Guitry — dziś, gdy wszystkie przedsięwzięcia Napoleona III są oddawna trupami historycznemi i nie wpływają na bieg życia Francji, na sytuację jej ludności, na tysiące jej spraw tak żywych za czasów Hugo, że pytanie o „małości“ Napoleona III stawało się najbardziej palące, najbardziej dojmujące.

Dziś pytanie to nie wiąże się z kwestją prestiżu i potęgi Francji (Meksyk, Sadowa, Sedan), jednakże nie przestaje być zagadnieniem historycznem. Należy je rozstrzygnąć. Kim był ów Sfinks? Nieudolnym, pozbawionym talentów, naśladowcą wielkiego cesarza, ambitnym awanturnikiem, dążącym za wszelką cenę do władzy, kabotynem na tronie — czy szlachetnym marzycielem i najlepszym z władców, którego losy były i bajką fantastyczną i tragedją nieopisaną?

Wielka księga Alfreda Neumanna nie daje, niestety, na to pytanie odpowiedzi. Zwróćmy uwagę na tytuły jej poszczególnych części: „Madejowe łoże cnoty“, „Judyta i wdzięczność“, „Orfeusz w piekle“, „Czerwone kepi“, „Corrida“, „Gog i Magog“... A w tych częściach znajdujemy takie rozdziały, jak: „Genre fatal“, „Galop infernal“, „Zły duch“, „Dzieło szatana“, „Huczący, żywy krzyż“ — i t. d. i t. d. O czem one świadczą? Autor chce tworzyć nastroje, owiewać czytelnika sui generis mistyką, intrygować go i podniecać. Atmosfera, jaką wywołuje w swej książce, jest niejako złowieszcza. Otacza ona Napoleona III, który staje się jakby narzędziem i igraszką tajemniczych potęg. Ale co to są za potęgi — niewiadomo. Czy słabość duchowa samego cesarza? Nie jest ona dostatecznie zarysowana. Czy wydarzenia polityczne, które stopniowo ciągną wdół cesarstwo? Ale tych wydarzeń nie analizuje Neumann, nie ukazuje ich przyczyn i przebiegu. Fatalna polityka meksykańska Napoleona III — fatalna w skutkach, ale być może wielka w zamierzeniach — nie została zupełnie wyjaśniona, i cała treść historji cesarza Maksymiljana sprowadza się do sceny odwiedzin napół obłąkanej cesarzowej Karoliny w Tuilleries, sceny zgoła melodramatycznej, jak z filmu amerykańskiego — celem wywołania „nastroju“. Podobnie niewyjaśnione są stosunki francusko-austrjackie i francusko-pruskie w r. 1866 (to też Sadowa spada na czytelnika infernalnym galopem); tak samo rzecz się ma z przyczynami i wybuchem wojny r. 1870. O stosunku Napoleona III do sprawy polskiej niema wogóle wzmianki; pominięte są również całkowicie, ważne w polityce „wielkomocarstwowej“ cesarza jego sukcesy w Azji, jak opanowanie Kochinchiny. Dzieje wewnętrzne Francji za Napoleona III, które szablonowo być może, niemniej jednak wyraźnie da się podzielić na trzy okresy: absolutyzm i dyktatura (1852—1860), ustępstwa konstytucyjne (1860—1867) i „cesarstwo liberalne“ (1867—1870) — nie są również ani wytłumaczone, ani uzasadnione. Natomiast przesadnie wyolbrzymiona została „tajemnicza potęga“ Rocheforta, publicysty i pamflecisty (nawet paszkwilanta), który snuje się zagadkowo przez całą książkę, niby demon, niby fatum cesarskie — personifikacja niejako wolności, rewolucji i gniewu ludu. Gdyby ostatecznie przeciętnego inteligenta (a dla takich „Drugie cesarstwo“ jest przeznaczone) zapytano, co pozostało w jego pamięci i wyobraźni po przeczytaniu grubego tomu, sądzę, żeby odpowiedział: żółta jak cytryna twarz cesarza i ustawiczna, zakaszlana chrypka Eugenji, to są bowiem dwie cechy obojga cesarstwa, na które nieustającą uwagę zwraca Neumann, jakby szukając w nich psychoanalitycznego klucza do ich dusz i postępków. Ale kim był w istocie bratanek i niewątpliwie duchowy spadkobierca Wielkiego Korsykanina? W pewnym momencie, właśnie, gdy wybucha niespodzianka Sadowy, mamy scenę, gdy wierny sekretarz cesarski Pietri wchodzi ostrożnie w nocy do sypialni cesarza, aby go zawiadomić o „nieszczęściu“: „Cesarz siedział w głębokim fotelu; miał na sobie popielaty szlafrok; w siwo-popielatym odcieniu był również fotel. Wyglądało to, jakby Napoleon tkwił w gęstej mgle“. I mgłą wydał się Pietri‘emu, który nie mógł pojąć, czy on śpi, czy myśli, czy to, co innych podnieca, przyprawia go o sen. Pod wrażeniem mgły pozostaje czytelnik w ciągu całej lektury. Czemu wrażenie to przypisać? Wyliczonym na wstępie elementom historyj romansowych i nadużywaniu psychologji, która zaciera obrazy.

A jednak o Napoleonie III można napisać wyraźnie. Mamy nawet w literaturze polskiej taką książkę, i autorem jej — co trzeba podkreślić — nie jest zawodowy historyk. To — „Napoleon III — szkice z dziejów jego życia i pracy“ Marjana Zdziechowskiego, wydane stosunkowo niedawno, w r. 1931. Czy książka Zdziechowskiego wydaje się bliższa dlatego, że miejsce należne w niej zajmuje i sprawa polska, zlekceważona przez Neumanna? Czy przemawia bardziej do czytelnika polskiego dlatego, że z kart jej wionie ową **legendą** napoleońską, która zawsze w Polaku budzić będzie oddźwięk? Nie sądzę. I mimo uroku legendy książka Zdziechowskiego jest bardziej „sucha“ od Neumanna, obciążona balastem przypisów naukowych i cytatów, czego u Neumanna nie znajdujemy. Ale te przypisy, jak to się okazuje w czytaniu, mają swoje znaczenie, swą wagę gatunkową i wartość uczuciową. Zdziechowski być może idealizuje Napoleona III, i nie każdy się z tem zgodzi. To prawda. Jednakże nie ukrywa i wad jego. podobnie jak Neumann, Napoleona Zdziechowskiego można przyjąć lub odrzucić; z Napoleonem Neumanna niewiadomo, co począć.

Różnica pomiędzy Zdziechowskim i Neumannem polega na tem, że pierwszym powoduje czysta żądza poznania, drugim względy — powiedziałbym — utylitarne.

Jerzy Wyszomirski

*) **Alfred Neumann. Drugie cesarstwo.** Z upoważnienia autora przełożył Alfred **Liefeld.** Warszawa, „Rój“, 1938; str. 532 i 4 nl. Zł. 15.

PISARZ OPĘTANY

Gdy Montherlant wydał w r. 1924 swój sławny cykl olimpijski, krytycy francuscy bardziej niż inni skorzy do dokładnego definjowania źródeł i ujść natchnienia poetyckiego, orzekli mniejwięcej zgodnym chórem, że autor „Snu“ powraca po latach neurastenji i amoralizmu do tak cenionej przez nich rozwagi i równowagi. Po dusznych i spazmatycznych wycieczkach w krainę zgubnych złud, nie podpadających pod kontrolę namiętnie we Francji wielbionego zdrowego rozsądku, następuje wreszcie okres rekonwalescencji, wyrażający się w apologji silnych bicepsów, elastycznych mięśni i reklamowego uśmiechu t. zw. tężyzny. W sposób nie nasuwający najmniejszej wątpliwości, jeśli chodzi o posługiwanie się właściwościami tegoż zdrowego rozsądku, precyzyjnie i jasno, jak wymaga nieubłagany genjusz francuski, obwieścili, że Henry de Montherlant stał się wzniosłym i nieposzlakowanym w swej sztuce herboldem „fizycznego wychowania“. Publiczność i owa mętna pianka prawdziwej opinji, jaką jest opinja literacka, były olśnione. Może nie tyle samym faktem nawrócenia się pisarza, który straszył mieszczaństwo po nocach swym wiecznym niedosytem, ile zachwycającym i rozbrajającym w swej prostocie komentarzem krytyki, która umiała tak przenikliwie i tak dobrodusznie, „z ręką na pulsie“, wielkiemu pisarzowi i naprzykrzonemu buntownikowi wyznaczyć jego miejsce pod słońcem. Krytyka bowiem, owa instalacja piorunochronna, dbała o całość i należyte jej funkcjonowanie, uziemiła ten nieposkromiony, zdawało się, gejzer gniewu, smutku i rozpaczy, jaką po brzegi nabite było dzieło Montherlanta. Teraz droga była wyraźna, oczyszczona z przeszkód, dostępna dla wszystkich, a przedewszystkiem wiodąca w znane, w nazbyt znane.

Jeszcze nie przebrzmiały oklaski uspokojonych widzów (i kilku zgryźliwych outsiderów), gdy na rynku literackim ukazała się nowa książka autora „Jedenastu przed złoconą bramą“ p. t. „U źródeł pragnienia“. Ale cóż to? Jeśli nas nie myliły oczy... Kpi z nas, najwyraźniej kpi.

Krytyk H. P.: Ależ to figiel z jego strony. Poprostu chce nam dokuczyć.

Krytyk L. S.: A ja się w tej aferze tak mocno zaangażowałem. Gdzie tu jest dalszy ciąg propagandy sportu, wychowania fizycznego? Nie, wie pan, to skandal.

H. P.: Manjak. Znowu wraca do banalnego grymasu Chateaubrianda, który uważał, że dłubanie we własnym smutku (i to w wyimaginowanym smutku) należy do dobrego tonu. Nie, mój panie, takich upartych wykolejeńców ja nie będę reklamował. Mam coś lepszego do roboty.

L. S.: Jasne. My potrzebujemy na gwałt nowej ekipy nauczycieli gimnastyki, a on tu ze swemi niemożliwemi fontannami nienasycenia, bluźnierstw i werterowych łez. Panie, mnie już mdli.

Jeden ze zgryźliwych outsiderów: A może szanowni panowie, zamiast biadać nad wykolejeniem autora, zechcą wytłumaczyć, skąd się bierze ta fontanna bluźnierstw w zwycięskiej i radosnej ojczyźnie?

Nie „zechcieli“ jednak; mieli coś lepszego do roboty. Dziwna była od tego czasu pozycja Montherlanta w piśmiennictwie francuskiem. Burzliwy prąd czasu przeczyścił pod niejednym względem psychikę pisarzy. W owym czasie nawet André Gide, ojciec chrzestny werterowskiego pokolenia pogrobowców, po powrocie z Konga, gdzie zetknął się oko w oko z nowoczesną formą panowania kapitału, z imperjalizmem kolonjalnym, opuścił swoją celebrowaną przez wszystkich pięknoduchów wieżyczkę i otworzył okno na świat. Zaczął oskarżać, badając dokładnie to wszystko, co się dzieje za ozdobną fasadą społeczną. Montherlant nie pozostał wierny swemu mistrzowi. Dystans między nim a większością jego współczesnych, również kombatantów ostatniej wojny, którzy doświadczenie z krwawych lat zaczęli przekuwać na słowa nowego, walczącego realizmu (Aragon, Dabit, Cassou), pogłębiał się coraz bardziej. Wiecznie w pogoni za swoim własnym cieniem, otoczony majakami, mimo pozorów szczelnie izolowany od świata i jego spraw, Monteherlant jakby zagubił swoje ślady. Poprzez gorączkowy huk wypadków dochodziły tu i ówdzie jego bolesne wołania o stabilizację, o punkt oparcia. Ginęły w huku rodzących się nowych wartości i nowych, jakże innych zatargów ze światem. Był czas, kiedy przestano prawie mówić o autorze „Les Bestiaires“.

I oto przypomnienie, nowa manifestacja jego istnienia. Nie tylko istnienia, ale najwspanialszego rozkwitu jego sił twórczych: cykl „Dziewczęta“, „Litujmy się nad kobietami“, „Demon dobra“ (w mądrym i inteligentnym przekładzie Wacława Rogowicza, nakładem „Roju“).

Spotykamy się po wielu latach „górnych i chmurnych“ nie bez uczucia ciekawości: jaki też jest teraz autor, z którym przeżywało się tyle wspólnych wzlotów i upadków? Czy się zmienił? Czy twarde postulaty czasu dotarły do jego dumnej wyniosłości, czy zbliżyły go do życia i jego palących spraw? Niewiele — ale i niemało. Przedewszystkiem Montherlant dojrzał. Chociaż jeszcze w owych latach amatorskiego weltszmercu pióro jego zachwycało klarownością i ową cudowną dokładnością w wyrażaniu najprzelotniejszych stanów uczuciowych, która po wieczne czasy pozostanie tajemnicą francuskiego stylu, ale wówczas miano jeszcze do czynienia z dysproporcją między chaosem wewnętrznym a zdolnością kształtowania kłębiącego się w nim zamętu. Dziś Montherlant zdobył pewną wiedzę o życiu. Wykroił sobie zeń pewien skrawek, erotykę. Problem: mężczyzna — kobieta i to, co ma w tej dziedzinie do powiedzenia, zdumiewa głębią, spostrzegawczością psychologiczną, najdokładniejszą znajomością wszystkich zakamarków tej przepastnej dżungli, wiecznej krainy niespodzianek, olśnień i przerażeń. Pierre Costa, bohater powieści, pisarz, jest bez wątpienia wizerunkiem autobiograficznym autora. Amoralista w wielkim stylu, który dla swego niepokojącego życia stworzył jeszcze bardziej niepokojącą filozofję, niezupełnie zresztą pozbawioną pierwiastków empirycznych. Pierre Costa ma swój odrębny stosunek do kobiet, do miłości, do małżeństwa. Kobiety uznaje wyłącznie jako źródło rozkoszy i tylko w tem widzi rację ich istnienia. Miłość, w najczystszym kształcie, jest tak trudna do osiągnięcia, że prawie nie istnieje. Małżeństwo zaś to grób nawet dla najniższej formy miłości. Życie zasilają dwa potężne akumulatory energji. rozkosz i twórczość. Bez rozkoszy niema twórczości, a bez twórczości życie jest straszną, beznadziejną pustynią.

Costa (Montherlant) jest bowiem pisarzem. Wszystkie jego myśli i uczynki wynikają z tego faktu. Jest jakieś zaciekłe samobiczowanie się i równocześnie najwznioślejsza ekstaza w tem poczuciu odpowiedzialności za każdą realną rzecz, którą pisarz przywołuje do życia dopiero w swem dziele. Podziemnemi nurtami wszystkie dopływy życia idą w tym jednym i jedynym kierunku: tworzyć. Pod tym kątem widzenia można nawet zrozumieć pewne wyraźne aberacje uczuciowe autora. Twórczość uświęca wszystko. Dla uzasadnienia pewnych uczynków Costa nigdy prawie nie przytacza przykładów wziętych z życia. Ważne jest to, jak życie przełamuje się w twórczości i jakie przybiera w niej kształty. Stąd Costa czerpie swoje racje i swoją orgjastyczną wiarę we własne posłannictwo.

A więc nawet kosztem cierpień innych istot, wplecionych w krąg jego istnienia? Na tym punkcie zaznacza się istota centralnego zagadnienia powieści, Costa jest najgłębiej przekonany, że twórca ma prawo zadawać cierpienia innym, jeśli to jest konieczne dla rozrostu jego dzieła. Ale nie czyni tego. Jest za słaby. Jeśli nie może dać kobietom miłości, nie odpycha ich od siebie. Płaci im za oddanie inną monetą, monetą tchórzów: litością. Jest opętany przez demona dobra. Na tej płaszczyźnie rozgrywa się dramat pisarza.

Costa (Montherlant) budzi w nas przynajmniej pod jednym względem zaufanie. Wierzymy mu, że jest pisarzem. Pisarzem niebylejakim. Wichurą natchnienia. Czytając książkę, słyszymy dosłownie porywający szum jego sztuki. „Pisał dziewięć dni z rzędu, po dwanaście godzin dziennie. Maczał pióro w samym sobie i pisał krwią, błotem, spermą i ogniem. I zrzucił kurtkę, kamizelkę, koszulę... i zrzucił trzewiki, został w skarpetkach. I rozczochrał włosy pięciu palcami. I tak nieumyty, niegolony, siadł za stołem... I pochylił się nad białym arkuszem. I wszedł z powrotem w swe dzieło, z całym swym głodem“.

Cały gąszcz spraw, którym był omotany, odpadł w tej chwili, gdy zasiadł do pisania. Odpadł gniew, niesmak, rozpacz. krzywda i wieczne uczucie nienasycenia. „I potem pisał jeszcze sześć dni, po dziewięć do dziesięciu godzin dziennie. I wieczorem szóstego dnia odsapnął jak wół. I patrząc na to, co zrobił, wpadł w wesołość i rzekł: Psiakrew, wykropiłem tęgą rzecz!“.

Jerzy Raun

Pierwszy Maj we Lwowie



Widok na część zgromadzonych przed gmachem Związku Zawodowego Kolejarzy



Delegacja Klubu Demokratycznego w pochodzie



Delegacja Polskiego Stronnictwa Ludowego i Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici“ w pochodzie

KORESPONDENCJA

ODPOWIEDŹ JERZEMU BOREISZY

Do redaktora „Sygnałów“

List redaktora „Sygnałów“, otwierający mi łamy „Sygnałów“ na odpowiedź „Obcemu nurtowi“ Jerzego Boreiszy wprawił mnie w zakłopotanie; wszakże oddawna uczy się nas, pisarzy, rezygnacji z euro... nie! słowo „europejski“ nic już nie znaczy! — więc jaśniej i prościej: z ludzkich sposobów traktowania; godność pisarza jako człowieka, pracownika, rzemieślnika, ideowca wreszcie — jest czemś dogorywającem, daleko poza nawiasem dobrych obyczajów (— nie potrzebuję chyba dodawać, że moja rezygnacja nigdy nie dotyczyła „Sygnałów“ —).

Więc: dziękuję serdecznie!

Na wywody Jerzego Boreiszy nie odpowiem. Śledzę od początku krytyczną działalność Boreiszy, podziwiam jego erudycję, spokój, logikę i jasność konstrukcji — podziwiam też rzecz znacznie jeszcze ważniejszą: ugruntowaną niepośledniem znawstwem socjalną uczciwość krytyka, co dzisiaj urasta do pierwszorzędnego znaczenia, ba, zdarzenia! Wszystkie te elementy, pasujące Boreiszę na znakomitego obrońcę zagrożonej, jak może jeszcze nigdy, barbarzyńskim najazdem kultury polskiej — znachodzę w „Obcym nurcie“; więc nie mam się przeciw czemu „bronić“; rzecz tu nie w dyskusji, lecz w stwierdzeniu; stwierdzenie to, owszem, jednostronne, lecz ta jednostronność (ekonomja) jest zamierzona i kilkakrotnie przez krytyka akcentowana. Sprawa, którą w swym artykule Boreisza dotyka, jest wielkiej wagi diagnostycznej; diagnoza naogół słuszna — natomiast stwierdzenie użyteczności czy szkodliwości objawu zdane jest wyłącznie na domniemania i przypuszczenia — atmosfera jest nazbyt wrząca. Niewątpliwem „pro“ jest to, co Boreisza nazywa „nieomylnym zwiastunem nadchodzącej burzy“. To pewne!

W kilku pozycjach, sądzę, powinien Boreisza przeprowadzić (dla dobra sprawy, nie dla dogodności czyjejkolwiek!) rewizję swoich tez; naprzykład w okolicy wykreślającej genezę „zmorowatych“ czy „motorycznych“ utworów; wywodzenie ich z okresu t. zw. „Młodej Polski“ byłoby może słuszne (raczej etymologicznie pociągające), gdyby nie ten olbrzymi przelot czasu spotęgowany w swej poezji tysiąckrotnie przebytą wojną, narastaniem świadomości i doświadczeń społecznych; przedział to nie lat czterdziestu, lecz czterystu, conajmniej!! Również i kilka razy użyty przymiotnik „obcy“ (pomijam jego dla mnie bolesność... niezasłużoną) powinien ulec argumentalnej modyfikacji celem uniknięcia wszelkiej dwuznaczności, tkwiącej w samem słowie. Wreszcie: niewątpliwa (choćby wstydliwie ukrywana) walka „pisarza przełomu“ z odosobnieniem! — i ta tragedja czyhającej katastrofy musi być krytykowi tej sumienności (człowieczeństwa), co Boreisza, momentem obowiązującym. **To są dzieje świadomości ludzkiej wplecionej w swój czas i tworzącej autentyczną, nie legendową historję.** Nakoniec to, co W. Kubacki ujął w zdaniu: „aktualność pisarza, jeśli ujmiemy tę sprawę głębiej, to nie tylko zawodne i nieistotne konjunktury tematyczno-ideologiczne, lecz zespół istotnych cech twórczości danego pisarza, czyli — artyzm“ — tu jednak przekraczam już granice, jakie świadomie wykreślił swym rozważaniom Jerzy Boreisza. Zresztą wiadome przyczyny, które automatycznie zdekompletowały wywody krytyka, uniemożliwiają i mnie argumentację dowodową (cytaty).

Tyle chciałem powiedzieć; nie więcej; przecież właściwą odpowiedzią pisarza jest jego praca; i tę odpowiedź, oczywiście, pragnę dać.

Emil Zegadłowicz (Gorzeń Górny)

W BŁĘDOMIERSKIEM KOLE

Każde dzieło przynosi ze sobą pewien wizerunek świata, który czytelnik, czy krytyk, na podstawie podobieństwa doznań ludzkich, określa jako prawdziwy lub fałszywy i który zależnie od tego przyjmuje, albo odrzuca. Ustalenie i wskazanie stopnia prawdopodobności i czystości tego wizerunku jest bodaj że najważniejszem zadaniem krytyki. Zadanie to wobec „Pasyj błędomierskich“ nie zostało spełnione.*)

Wprawdzie dociekania na temat procesu tworzenia doprowadzają do konkluzji, że postacie tworzone przez pisarza żyją życiem własnem, samodzielnem, niezależnem od woli twórcy, że często dojrzewają i kształtują się w sposób przezeń porostu nieprzewidziany, — jednak pisarz musi zachować funkcje kierownicze, by nie została wypaczona, ani rozdwojona linja psychologiczna danej postaci, która w każdym wypadku może być tylko jedna. I jeden tylko może być punkt widzenia pisarza, poprzednio przezeń obrany i ustalony, gdyż najmniejsze odchylenie spowodować może zmącenie całego obrazu, całego wizerunku. Takiego wyraźnego punktu widzenia, czy też punktu wyjścia autora, nie wyczuwa się w „Pasjach błędomierskich“. Zmącenie ogólnego charakteru powieści jest znaczne. Wywołane ono zostało nie samem tylko, czysto zewnętrznem zresztą, podobieństwem starego Zamoyłły do Tołstoja (co zgodnie podkreśliła krytyka), gdyż, ostatecznie, obojętne jest, kto był prototypem danej postaci, ile fałszywem „umiejscowieniem“ Zamoyłły, faktem przeszczepienia znanego i wybitnego typu psychicznego, uwarunkowanego specyficznym klimatem duchowym i materjalnym, na grunt dlań nowy i obcy. Więc tu właśnie, w fałszywem umiejscowieniu postaci Zamoyłły leży główny grzech powieści Iwaszkiewicza, główny błąd, który w dalszym rozwoju spowodował zupełne zniekształcenie linji psychologicznej tej, według zamierzeń autora, centralnej postaci powieści, a także zmącił i zniweczył inne zamierzenia autora: osłabił i pozbawił właściwego wyrazu starcie dwu światów, odwieczny konflikt dwu pokoleń — starego i nowego. Podanie samych faktów, zwłaszcza z życia ludzi wybitnych, bez ukazania dróg, któremi te lub owe wydarzenia się żłobiły, bez należytego oświetlenia podłoża, na którem się rozwijały i dojrzewały — doprowadziło w rezultacie do tego, że cała domowa tragedja „wielkiego“ samotnika zmalała do rozmiarów nudnej i przeciętnej starości przeciętnego, zamożnego arystokraty. Wszakże i ucieczka Tołstoja nie była niczem innem, jak tylko ostatniem i słabem już zadokumentowaniem jego wiecznego buntu przeciw wszystkim: przeciw „wrogom domowym“, przeciw całemu otoczeniu, przeciw ustalonemu porządkowi rzeczy, i zwłaszcza przeciw śmierci, której nigdy nie mógł przyjąć, jako najrozsądniejszego i najlepszego rozwiązania zagadki ludzkiego bytowania. Ucieczka Tołstoja podyktowana była poprostu naturalnym, zwierzęcym instynktem i lękiem przed końcem — u Zamoyłły zaś, który spokojnie i z rezygnacją przyjmował przemijanie rzeczy, dało to efekt teatralny. Teatralna też w obecnych warunkach polskich wydaje się scena z ludem, klęczącym naokoło leśniczówki, gdzie skonał wielki pisarz. Trudno uwierzyć, by w dzisiejszej Polsce jakiś pisarz mógł aż tak dalece „zbłądzić pod strzechy“. Taką scenę możnaby, ostatecznie, domalować w wypadku śmierci kogoś ze sfer innych — nie literackich w każdym razie.

Scen melodramatycznych i teatralnych, oprócz tej, można wskazać w powieści jeszcze kilka. Wybitnie teatralna (na starą modłę) jest ostatnia rozmowa Kanickiego z Różą — w lesie, i jego czołganie się do niej na kolanach, po szeleszczącym dywanie z opadłych liści, potem nagła ucieczka, pogoń za nim Róży, która po długiej i bezskutecznej gonitwie „bezsilnie wsparła się o krzyż i nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi, powtarzała jego nazwisko“. Mało prawdopodobna w dzisiejszych czasach wydaje się sama Róża, zamożna hrabianka, obejmująca posadę nauczycielki w jakiejś wiosce na Polesiu. Czasy tak zwanego „chożdienia w lud“ dawno się skończyły. Kiedyś miało ono swój sens i urok. Dziś w dobie bezrobocia, pomysł Róży może być uważany raczej za szkodliwy i nieodpowiedzialny wybryk wielkopański. Róża sprawia wrażenie osoby historycznie i psychicznie „spóźnionej“. Ma swoją rację bytu (w powieści), jako ostateczny cel ucieczki Kanickiego, lecz i tu zawodzi, występując ze swoją „godnością“ kobiecą, niestety, bez dostatecznej dozy dobroci, która jedynie mogła uratować Kanickiego.

Kanicki, tragiczny poeta, obok starego Zamoyłły jest drugą postacią powieści, na której skupia się bieg wydarzeń i cały światek błędomierski. On to właściwie stanowi ośrodek koła Błędomierskiego, które obracając się wokół jego osi, wciąga w swą orbitę mnóstwo innych osób i żyć. Kanicki, to typ nawskróś patologiczny, zboczeniec, erotoman, człowiek „głęboko niemoralny“, nie odróżniający granicy „pomiędzy grzechem a cnotą“, nie umiejący się oprzeć najmniejszej pokusie. „Jego złe i dobre postępki — zaznacza autor — były „zupełnie odruchowe“, jakby mechaniczne. Co czynił, czynił jakby w transie, nie obejmując myślą „rozpiętości czynu“. W takim też stanie dokonał zabójstwa syna (zatopił go, jak szczenię, w Wierzchlicy) i nie myślał o skutkach. Słowem, klasyczny typ moral insanity.

W postaci Kanickiego, jak było do przewidzenia, zaczęto się doszukiwać wpływów Dostojewskiego. Można wykazać pewne podobieństwo Kanickiego n. p. do Marmeładowa i nawet do Raskolnikowa ze „Zbrodni i kary“, lecz czy są to wpływy, czy tylko przypadkowe spotkania pisarzy bratnich, o umysłach i duszach pokrewnych, różnica między Iwaszkiewiczem a Dostojewskim jest zasadnicza. Dostojewski odsłania i ukazuje cały wewnętrzny proces tych, czy innych stanów psychicznych; Dostojewski te stany poprostu jakby rentgenizuje. Iwaszkiewicz natomiast tego nie czyni i daje obraz już gotowy, w jego formie ostatecznej, skończonej i czysto zewnętrznej. Więc, właściwie, podobieństwo jest tylko powierzchowne, formalne. Najciekawsze w sylwetce Kanickiego jest to, że przy wszystkich swych „obciążeniach“ łączy on w sobie elementy najwyższej „boskości“ dostępnej człowiekowi: jest poetą. Bezsennemi nocami pisze swe, rzekomo wspaniałe, „grobowe uśpichy“. Potęguje to niezwykłość i niesamowitość jego rozdarcia wewnętrznego.

Osoby drugorzędne, występujące w powieści epizodycznie, jak Kanicka, Bogna, Gorenstein, Jan i inne, naszkicowane są lekko i umiejętnie. Każda z tych postaci zarysowuje się w pamięci czytelnika czemś własnem, indywidualnem.

Jeśli chodzi o wartość „praktyczną“ powieści Iwaszkiewicza, jest nią przedewszystkiem wykazanie „głębokiej niepobożności i fałszywej teatralności“ widowisk pasyjnych w rodzaju słynnych „misterjów“ w Oberammergau. Pozatem nie tyle już zagadnienie pasyj, ile sam pomysł zrealizowania ich na większą skalę w Błędomierzu, pozwolił autorowi ujawnić pewne cechy naszego życia społecznego: przerażający zamęt i chaos pojęć, rozpływanie się w pustych projektach i pięknych planach, wieczną chęć zadziwienia całego świata (depesze o pasjach błędomierskich lecą na wszystkie strony świata!) przy zupełnym braku poczucia możliwości i warunków realnych. Tło społeczne uchwycone zostało trafnie i trudno autorowi czynić zarzut, jeśli nie wypadło pocieszająco.

Zresztą całą powieść cechuje nastrój ponury i beznadziejny. Ma się wrażenie, że w jakiejś nieokreślonej miazdze, sączącej się z kart powieści, toczy się błędomierskie koło, znacząc swój bieg zmąconą i łamaną linją.

Marja Koszyc-Szołajska

*) **Jarosław Iwaszkiewicz. Pasje błędomierskie.** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1938; str. 323 i 5 nl.

NAGRODA LITERACKA LWOWA

Już w marcu b. r. zostały przyznane obydwie nagrody naukowe m. Lwowa (historyczna i matematyczna). Otrzymali je dwaj wybitni uczeni, profesorowie Bartel i Bujak.

Lwowska nagroda literacka nie została w bieżącym roku przyznana. Publiczność nie wie, dlaczego tak się stało. Po Lwowie krążą tylko mniej lub więcej prawdziwe plotki.

Sprawa jest ważna i wymaga, aby ją wyjaśnić i zająć wobec niej zasadnicze stanowisko. Nagroda literacka została ufundowana przez miasto kilkanaście lat temu. Otrzymali ją m. inn. Staff i Zbierzchowski. Gdy w lwowskim magistracie pojawił się prezydent Drojanowski, odrazu zapowiedział, że nie ma pieniędzy i nagród naukowych i literackich nie będzie nikomu przyznawał. Prezydent Drojanowski znany był z dyktatorskiego usposobienia. Chociaż statut nagrody postanawiał, że nagroda musi być przyznana co roku, a jeśli się jej nie przyzna, komitet nagrody (do którego wchodzą m. inn. przedstawiciele uniwersytetu, Towarzystwa Naukowego, Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Związku Zawodowego Literatów), powinien na specjalnem zebraniu uzasadnić, dlaczego tak się stało i wniosek swój przedstawić do zatwierdzenia radzie miejskiej.

Komitet nagrody literackiej (i naukowej) nie był przez prezydenta Drojanowskiego zwoływany i nikt nawet nie zapytał o przyczyny. Żyjemy w czasach autorytetów, należy przed niemi drżeć i bić czołem.

Po prezydencie Drojanowskim przyszedł prezydent Ostrowski. Prezydent Ostrowski, którego najbliższym współpracownikiem w sprawach kultury jest wiceprezydent Weryński, postanowił zostać mecenasem literatury i nauki. Prezydent Ostrowski wie doskonale, że opiekując się wiedzą i sztuką, można przejść do nieśmiertelności.

W roku 1937 przyznano nagrodę literacką Edwardowi Porębowiczowi. Nikt przeciw temu nie protestował, postanowienie było najzupełniej słuszne.

Jednak już w r. 1938 nagroda literacka nie została przyznana. Nikt nie wie, dlaczego. Nie ukazało się jakiekolwiek urzędowe wyjaśnienie. Prezydent Ostrowski zaczął naśladować swego poprzednika. Nie podniosła się burza protestów, nikt nie żąda wyjaśnień, prasa lwowska milczy. Wyda się to mniej dziwne, jeśli zauważymy, że we Lwowie jest tylko kilka dzienników polskich: jeden z nich jest endecki, sprawami kulturalnemi nie zajmuje się więc z urodzenia i przyzwyczajenia, drugi żyje z pieniędzy podatkowych, trzeci jest „popularny“, reszta to brukowce. Pozatem jest legjonowo-peowiacki dwutygodnik „Wola i Czyn“. Prasa ukraińska i żydowska ma najmniej danych, aby zajmować się nagrodami, które nie zostaną przyznane przedstawicielom tych narodowości. Nic zatem dziwnego, że w takich warunkach sprawa nieprzyznawania nagrody literackiej nie wywołała żadnego odgłosu w opinji publicznej.

Historja jest najzupełniej współczesna. Przedstawiciele uniwersytetu, Towarzystwa Naukowego i Zakładu Narodowego im. Ossolińskich zdecydowali się jako kandydata do tegorocznej nagrody literackiej m. Lwowa postawić Ostapa Ortwina, jednego z najwybitniejszych krytyków literackich, długoletniego prezesa lwowskiego oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich. Zarząd Związku Literatów, nie chcąc wystawiać kandydatów spośród siebie, postanowił przyłączyć się do wniosku innych przedstawicieli. Drugim kandydatem Związku był Teodor Parnicki.

Ostap Ortwin jest jednak pochodzenia żydowskiego. To dzisiaj nie jest modne, chyba że się jest Stanisławem Piaseckim, redaktorem „Prosto z Mostu“. Zarząd m. Lwowa nie może występować przeciw duchowi czasu. Toteż najbliższy współpracownik prezydenta Ostrowskiego do spraw kultury wezwał do siebie Ostapa Ortwina i namawiał go gorąco, aby zrzekł się swej kandydatury. Ostap Ortwin oświadczył, że jej nie wystawiał, nie może się jej zatem zrzekać.

Kandydatura Ostapa Ortwina miała zapewnioną zgóry większość głosów. Wiedział o tem zarząd miasta. Kilkakrotnie zapowiadane zebrania komitetu nagrody literackiej w ostatniej chwili odwoływano pod najrozmaitszemi pretekstami. I oczywiście nagrody nie przyznano, nie spełniono też postanowień statutu.

Jakie zasługi dla literatury i kultury polskiej ma Ostap Ortwin, wie każdy historyk literatury. Był przyjacielem Brzozowskiego, Kasprowicza i Staffa, wydał w księgarni Połonieckiego wiele znakomitych dzieł, jest krytykiem twórczym i nieprzeciętnym. Politycznemi przekonaniami jest dziś bliski tym, którzy nie dali mu nagrody. Jest wielbicielem faszyzmu, wszelkich wodzów, czuje się nacjonalistą polskim, czyta tylko „Gazetę Polską“, „Warszawski Dziennik Narodowy“ i „Słowo Narodowe“, szaleje, gdy zwycięża Hitler lub Mussolini. Czyż potrzeba lepszych rekomendacyj?

Sprawa nagrody literackiej nie jest sprawą osobistą prezydenta Ostrowskiego i wiceprezydenta Weryńskiego. Nie jest też sprawą ich przekonań politycznych, idących „z duchem czasu“, jakby zatytułował ten feljeton Wojciech Wasiutyński, który obraża się śmiertelnie, gdy mu ktoś udowadnia, że miał dziadka Buchbindera. Jest to sprawa publiczna i nie można jej zamknąć w czterech ścianach gabinetów magistrackich. Nagroda literacka jest nie tylko wyróżnieniem, nie tylko świadectwem, że miasto bodaj w ten sposób interesuje się sprawami kulturalnemi i artystycznemi, ale także pewnego rodzaju subwencją dla pisarza, żyjącego przecież w najgorszych warunkach materjalnych.

Jeśli nagrody lwowskie mają istnieć w przyszłości, przyznanie ich powinno być uniezależnione od czynników, które prowadzą tylko gierki osobiste lub polityczne. Jest bowiem zawstydzającym skandalem, że n. p. Kazimierz Twardowski dostał nagrodę nie we Lwowie, lecz w Łodzi.

K. K.

MAKSYMA

Ta teorja względności rządzi na tej kuli:
że ciału bliższa kieszeń nawet od koszuli.
To prawo fizyczne działa niezawodnie:
bo kto kieszeń gubi, traci przytem spodnie.

St. J. Lec

Sprawa Stefanji Sempołowskiej

Już po wydrukowaniu poprzedniego numeru „Sygnałów“ otrzymaliśmy następujące pismo:

„Sygn. KZ. 272/38. Sąd Apelacyjny we Lwowie w Wydziale III Karnym w sprawie konfiskaty czasopisma „Sygnały“ rozpoznawał na posiedzeniu niejawnem w dniu 14 kwietnia 1938 r. zażalenie Tadeusza Banasia, odpowiedzialnego redaktora czasopisma „Sygnały“, i Karola Kuryluka, wydawcy tego czasopisma, na postanowienie Sądu Okręgowego we Lwowie z dnia 31 marca 1938 r. Nr. akt. VI 1 Pr. 87/37, którym zatwierdzono konfiskatę tego czasopisma Nr. 29 z powodu umieszczonych tam artykułów: 1) „Nauczyciel życia“ i 2) „Polska na rozdrożu“ i po wysłuchaniu Prokuratora Sądu Apelacyjnego

postanowił

zażalenia nie uwzględnić i zatwierdzić zaskarżone postanowienie.

Uzasadnienie.

Sąd Okręgowy słusznie przyjął, że pierwszy z wymienionych wyżej artykułów zawiera znamiona występku z art. 154 § 1 kk., zaś drugi znamiona wyst. z art. 170 kk.

Rozważając treść zażalenia dodaje Sąd Apelacyjny co następuje.

Przedewszystkiem Sąd Apelacyjny podziela pogląd Sądu Okręgowego, czego zresztą nie kwestjonuje zażalenie, że gloryfikowanie pewnej osoby jest identyczne z pochwalaniem jej działalności. Skoro w niniejszym wypadku Sąd Okręgowy przyjął, że Stefanja Sempołowska, której ten artykuł dotyczy, jest obecnie osobą pod względem politycznym podejrzaną, słuszny wyciągnął z tego wniosek, że wychwalanie Stefanji Sempołowskiej jest zarazem pochwalaniem jej działalności i to także tej, która obecnie stała się przyczyną tego, że Sempołowska stała się pod względem politycznym podejrzaną. Zauważyć przytem wypada, że artykuł nie wychwala bynajmniej tylko przeszłości Sempołowskiej, lecz owszem w ostatnich swych ustępach daje niewątpliwy wyraz temu, że chwalebną jest i dzisiajsza osoba, a więc i działalność Sempołowskiej.

Zażalenie kwestjonuje, jakoby Stefanja Sempołowska była „osobą pod względem politycznym podejrzaną“. Na uzasadnienie tych wątpliwości przytacza: 1) chlubną przeszłość i dawniejszą działalność Sempołowskiej, 2) fakt, że przewód sądowy nie wykazał dostatecznie, by Sempołowska była pod względem politycznym podejrzaną.

Co się tyczy zarzutu pierwszego, to jest on bez znaczenia dla oceny niniejszej sprawy. Te kwestje należą do przeszłości, idzie tylko o to, czy mimo takiej swej czy innej przeszłości, mimo nawet takiej czy innej obecnej swej działalności, jednak nie zaistniały okoliczności, które uzasadniają twierdzenie, że Sempołowska jest pod względem politycznym w tej chwili podejrzaną.

W tym względzie Sąd Apelacyjny zgodnie z Sądem pierwszej instancji nabrał przekonania, że akta Sędziego śledczego w Warszawie (do akt niniejszej sprawy dołączone), oraz pismo tegoż sędziego z dnia 17 listopada 1937 r. stwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że Stefanja Sempołowska pozostaje w urzędowem podejrzeniu o taką działalność polityczną, która w świetle obowiązującego prawa, stanowi istotę przestępstwa. Nie o to chodzi, czy Sempołowska jest winną tego rodzaju przestępstwa i tego też obecnie jeszcze twierdzić nie można, ale faktem jest, że w całem tego słowa znaczeniu podejrzaną. Stąd też słusznie zatwierdzono konfiskatę tego artykułu.

Co się tyczy drugiego artykułu, to zażalenie nie podnosi żadnych konkretnych twierdzeń i zarzutów, a Sąd Apelacyjny nie ma nic tu do dodania lub zauważenia.

Zubrzycki w. r. Laniewski w. r. Medyński w. r. (Pieczęć). Za zgodność: (podpis nieczytelny) Kierownik Sekretarjatu".

Przypominamy, że w „Robotniku" z dnia 20 kwietnia b. r. p. t. „W sprawie rzekomego oskarżenia p. St. Sempołowskiej o zbrodnię stanu" ukazała się następująca wiadomość:

„Dowiadujemy się, że w związku z wystąpieniami M. Niedziałkowskiego i Leona Berensona w sprawie pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej Pani Stefanji Sempołowskiej z oskarżenia o zbrodnię stanu, p. Wiceprokurator Piotrowski, mający nadzór nad śledztwami politycznemi, ZAPRZECZYŁ, BY PRZECIW PANI STEFANJI SEMPOŁOWSKIEJ TOCZYŁO SIĘ JAKIEKOLWIEK DOCHODZENIE LUB ŚLEDZTWO.

Podając to chętnie do wiadomości publicznej, pragnęlibyśmy jednak wiedzieć, w jaki sposób Sędzia Śledczy Kleinert mógł poinformować Sąd Okręgowy we Lwowie o istnieniu takiego śledztwa i czy nie należałoby w drodze urzędowej nieporozumienie to jak najprędzej naprawić...".

Zarówno Sąd Okręgowy, jak też Sąd Apelacyjny oparły się w swoich orzeczeniach na piśmie i aktach sędziego śledczego w Warszawie, p. Mieczysława Kleinerta. Według tych aktów i pisma p. sędziego Kleinerta z dn. 17 listopada 1937, przeciw p. Stefanji Sempołowskiej toczy się śledztwo z art. 97 k. k. (zbrodnia stanu).

P. wiceprokurator Piotrowski, mający nadzór nad śledztwami politycznemi w oświadczeniu z dnia 20 kwietnia b. r. — oświadczeniu temu nikt, a zatem i p. sędzia Kleinert nie zaprzeczył — wyjaśnił, że **przeciw p. Sempołowskiej nie toczyło się i nie toczy się jakiekolwiek dochodzenie lub śledztwo.** P. wiceprok. Piotrowski zaprzeczył zatem wszystkim pismom i aktom p. sędziego Kleinerta. Sądy opierały się dotychczas na pismach i aktach p. sędziego Kleinerta.

Sądzimy, że sprawa jest nadal otwarta i wymaga ostatecznego wyjaśnienia.

W OCZACH ZACHODU

CIEKAWA KSIĄŻKA O MUSSOLINIM

Gaudens Megaro w książce „Mussolini in the Making" dał pierwszą krytyczną biografję Mussoliniego. Autor od wielu lat zbierał materjał we Włoszech, Austrji i Szwajcarji i z wyjątkiem zbiorów gazet zniszczonych przez Mussoliniego, niewiele dokumentów mogło ujść jego uwagi. „Kluczem — mówi G. Megaro na wstępie — do zrozumienia Mussoliniego, wodza włoskiego socjalizmu i włoskiego faszyzmu, jest historja jego dziecinnych lat i początkowej karjery". Mussolini urodził się w 1883 r. w Forli, w buntowniczej prowincji Romagna. Ojciec jego Alessandro był sławnym i wymownym socjalistą. Nazwał swego najstarszego syna imionami Benito Amilcare Andrea: Benito — na cześć meksykańskiego rewolucjonisty, Amilcare i Andrea — na cześć dwóch włoskich anarcho-internacjonalistów. Benito Mussolini od początku swego życia, poprzez wszystkie następne lata pozostał wierny jedynej swojej zalecie, którą posiadał w niezwykłym stopniu: gwałtowności. Po dwuletnim pobycie w szkole został wyrzucony za pchnięcie scyzorykiem swojego kolegi. Od początku okazywał bystrość umysłu i silny zmysł praktyczny. W 1901 r. zdał egzamin na nauczyciela ludowego i wyjechał do Szwajcarji.

Megaro rozprasza legendy powstałe wokół młodości Mussoliniego, jakoby był za głupi, aby znaleźć inne zajęcie, jak zajęcie murarza, że kradł zegarki, że był francuskim szpiegiem i studentem uniwersytetu. W dwudziestym roku życia Mussolini był sekretarzem włoskich socjalistów w Bernie. W 1912 był wydawcą „Avanti!" i dziennikarskim przewódcą włoskiego socjalizmu. W tym czasie Sorel, który go bardzo lubił, widział w nim przyszłego wodza Włoch. W niezliczonych namiętnych artykułach i mowach, w więzieniu i na wolności, Mussolini wychwalał ekstremistyczne formy rewolucyjnej działalności. Atakował z niezwykłą gwałtownością armję, parlament, króla, Chrystusa.

Mussolini pragnie, by go uważano za twórczego artystę. Napisał powieść „Kochanka kardynała", zapowiedział tom p. t. „Krytyczne studja z literatury niemieckiej" i tom p. t. „Perwesyjne nowele"; jest również prezesem międzynarodowego towarzystwa Marka Twaina (International Mark Twain Society).

A oto cytaty z pism Mussoliniego z okresu pierwszej wojny abisyńskiej, kiedy sam był dezerterem z armji włoskiej: „Italja potrzebowała chleba, a wytoczono z niej wszystką krew. Pogrążono ją w przedsięwzięcia kolonjalne, kiedy pragnęła jednej tylko rzeczy: wewnętrznego odnowienia".

A oto zakończenie mowy w 1910 r., skierowanej przeciw kongresowi pisarzy nacjonalistycznych we Florencji:

„Nacjonalizm?... Wyniesiony na słońce, wystawiony na wiatry, straci swój zapach. Nie można zaszachować rzeczy nieuniknionych. Świat idzie ku międzynarodowemu socjalizmowi, ku federacji ojczyzn, już nie wrogich, lecz siostrzanych. Nacjonalizmy nie są niczem innem, jak wysiłkami burżuazji, aby oddalić o rok, o dzień, to wielkie wydarzenie, które zakończy prehistorję rodzaju ludzkiego".

Mussolini przepędza drugą połowę życia na skrupulatnem wymazywaniu wszystkiego, co w pierwszej połowie z poświęceniem budował. Hitler zdradził wielu swoich pierwszych przyjaciół, Mussolini zdradził ich wszystkich.

G. Megaro w końcowym rozdziale swojej książki tłumaczy zmiany frontu u Mussoliniego zmianą jego uczuć.

„Rozczarowany, że nie poprowadził rewolucji socjalistycznej we Włoszech, stworzył anty-demokratyczny faszyzm, który jest dzieckiem jego antydemokratycznego socjalizmu. Więcej mu zawsze zależało na namiętnej walce politycznej, niż na społecznym rezultacie tej walki. Jego socjalizm, rewolucjonizm, nacjonalizm, były ideologicznemi maskami jedynej jego namiętności: stać na czele napastników. Jest on kondotjerem XX wieku, spala go żądza panowania, jest gotowy do przyjęcia każdej sprawy, któraby prowadziła do zaspokojenia tej żądzy.

...Jako młody człowiek o niezwykłej inteligencji, okazywał niezwykłe zamiłowanie do literatury buntu. Nigdy nie miał zainteresowań naukowych, badawczych czy ideowych, brał z nich to tylko, co mu było potrzebne do pchnięcia siebie naprzód. Przejmuje się tylko sobą. Póki Mussolini żyje jako głowa rządu, świat nie zazna spokoju. Największą jego pokusą jest zwycięstwo ducha faszyzmu, którego wcieleniem jest on sam".

Niektórzy sądzą, że faszyzm jest produktem ubocznym socjalizmu. Tak jednak nie jest. Jest on tylko odpadkiem socjalizmu i książka Megaro o Mussolinim jasno to pokazuje. Zasługuje też ona, aby ją przełożyć na język polski.

Z HISZPANJI

Półtora miljona uciekinierów z prowincyj sąsiednich, okupowanych przez gen. Franco, znalazło schronienie w kościołach Barcelony, przeważnie starcy i dzieci, których głównem pożywieniem jest chleb rozgotowany na wodzie. Barcelona dzielnie zmaga się z coraz większemi trudnościami. Mimo braku prądu elektrycznego, fabryki amunicji pracują bez wytchnienia, używając zapasowych motorów Diesla, albo prądu z mniejszych stacyj wodnych. Połowa przemysłu eksportowego dotąd pracuje normalnie dzięki dostawom węgla z Anglji i innych krajów. Połączenia autobusowe i telefoniczne, a nawet życie w kawiarniach, nie ucierpiały mimo bombardowań.

Rząd Walencji i Barcelony jest rządem demokratycznym, czego dowodzi następujący fakt. Generał Asensio, poprzednio zastępca ministra wojny w rządzie Caballera, oskarżony o zdradę, napisał w więzieniu książkę, w której usprawiedliwia swoje postępowanie. Książka została wydana i sprzedawana jest jawnie w księgarniach. Asensio rozesłał egzemplarze z dedykacją do wielu członków rządu.

W Katalonji od początku wojny hiszpańskiej zginęło 1,553 osób, zaś 2,007 zostało rannych wskutek bombardowania.

W tym samym czasie, w Anglji było 360,326 wypadków automobilowych, z czego 10,741 śmiertelnych. („New Statesman", 30. IV.).

Z WOJNY HISZPAŃSKIEJ

Margarita Nelken, posłanka do Kortezów, opowiada, jak wracając z frontu, zatrzymała się w oberży, gdzie dziewczyna usługująca opowiedziała jej o piekle nienawiści i cierpień.

„Jesteśmy z Teruelu, wyszłyśmy z tego miasta, kiedy wkraczały wojska rządowe. Frankiści zabili mi starszego brata, ale nawet ta śmierć była niczem w porównaniu z tem, co musiałam widzieć. Jednego dnia zabito siedemnastu na placu Torico, tylko dlatego, że byli republikanami, a wieczorem, na tym samym miejscu urządzili bal i ich piękne panny tańczyły w jedwabnych sukienkach. Falangistki gorsze są od wilczyc.

Poszukiwałyśmy drugiego naszego brata, ale nigdzie, ani w więzieniach, ani na cmentarzach nie mogłyśmy się o nim niczego dowiedzieć. Grabarze mówią, że bywały dnie, kiedy samochody ciężarowe zwoziły takie ilości trupów, że odchodzili od zmysłów.

W Saragossie myślałam, że matka oszaleje, bo gdy tylko wychodziło się za miasto, słychać było godzinami jęki: „Mamo — matko"... Jęczeli ci, których rozstrzeliwano w nocy, a dla przykładu, celowano tak, aby umarli dopiero po godzinach agonji.

Ale mimo strachu przed torturami, nasi, których Franco rekrutuje ze zdobytych prowincyj, przedostają się nocą przez linje i przychodzą do nas".

KOSZTOWNA MANJA PRZEŚLADOWCZA

Nie tylko zmontowano całą policję, wielką i małą, jawną i tajną, ale wszyscy mieszkańcy miast włoskich, w których miał się zatrzymać Hitler, zostali wezwani do złożenia deklaracji pod przysięgą, że nie goszczą i nie będą gościli przed i w czasie podróży Hitlera osób nie należących do rodziny, jeżeli zaś mają gościa, muszą dostarczyć władzom wszystkich o nim wiadomości.

Policja nie mogła dać sobie rady w śledzeniu ludzi podejrzanych, na których listy anonimowe zwracały uwagę.

W samej Weronie aresztowano „przez omyłkę" czterysta osób, podejrzanych o goszczenie zamachowców. Jeden z wybitnych uczonych polskich został aresztowany na dworcu w Rzymie, ponieważ w pociągu objawiał „zdenerwowanie".

RZECZY NIEPRAWDOPODOBNE

Przed 1500 laty retorzy greccy roztrząsając wszelkie możliwości i niemożliwości prawne, wymyślali takie, które miały ubawić czytelnika ówczesnego, pomysłowością rzeczy niemożliwych. Nie przewidzieli, że ich scholastyczny dowcip spełni się w kilkanaście wieków później.

W Scholiach do Hermogenesa (II w. po Chr.) czytamy:

„Obywatel wyspy wygłosił mowę pochwalną na cześć lądu stałego i został oskarżony o zdradę".

Albo:

„Malarz nie malował obrazów świętych i został oskarżony o ateizm".

DO PROPAGANDY PRO-MADAGASKARSKIEJ

Malgasze postępują wedle wskazań św. Franciszka Salezego, który mówił: „Gdyby powołanie do małżeństwa było poprzedzone nowicjatem, niewielu wytrwałoby w tym zawodzie".

Roczny nowicjat małżeński jest obowiązujący, ale nie przeszkadza w zawieraniu małżeństw, coprawda nie zawsze z tym samym partnerem. Wedle Myriam Harry, autorki egzotycznych powieści, matki w Tananariwie, kiedy im się zwraca uwagę na grzeszki córek, mówią, że nie na to się tak utrudziły, aby córka znała tylko jednego mężczyznę. Ojcowie zaś mówią, że trzeba być szalonym, by żenić syna z dziewczyną, która nie znała mężczyzny przed ślubem. („Nouvelles Littéraires", 23. IV.).

NIE TYLKO U NAS

W liberalnem imperjum brytyjskiem jest kraj, który sprzeniewierza się liberalizmowi. Jest nim Quebec, zamieszkały w znacznej części przez kanadyjskich Francuzów, którzy są gwałtownymi pro-frankistami i pro-faszystami. Ludność stała się bardziej katolicka, niż francuska, i bardziej faszystowska niż katolicka. Wielu ludzi otwarcie nosi swastykę, a Adrien Arcand, wydawca „L'Illustration Nationale" i zwolennik premjera Duplessis, odpowiadał niedawno przed sądem w otoczeniu oddziału dwudziestu niebieskich koszul. Każdy podejrzany o „komunizm" (nie jest określone, co to słowo dokładnie znaczy), narażony jest na zbrojny najazd, rewizje i zniszczenie domu, biura lub sklepu. W Quebec było już 50 takich najazdów, u jednego pisarza zniszczono manuskrypt historycznej pracy. Drzwi „Nowej Księgarni", która sprzedawała „komunistyczne" książki i inne nowości, są opieczętowane, i na zamówienia telefoniczne wysyła się książki tylnemi drzwiami. W Montrealu nie można dostać książek będących na indeksie; nie tylko nie można kupić dzieł Anatola France'a, ale nawet zobaczyć filmu (bo cenzura wedle indeksu obejmuje i filmy) między niemi i filmu „Zola", bo książki Zoli są na indeksie. Książka „Kraj wolności" została skonfiskowana, gdyż policja na podstawie tytułu wnioskowała, że chodzi tam o Sowiety, chociaż w rzeczywistości był to opis Stanów Zjednoczonych. („New Statesman", 23. IV.).

DROBNE WIADOMOŚCI

Buenos-Aires. Leopold Lugones, wytrawny helenista, subtelny poeta i mistrz młodych pisarzy ibero-amerykańskich, umarł z głodu w 64 roku życia.

Berlin. Zakazano wyrobu „błyskawicznych zamków" do sukien, ponieważ władze uznały, że są brzydkie, a stal potrzebna jest do poważnych celów.

Hong-Kong. Joris Ivens i Pabst będą kręcili film z wojny chińskiej.

Kair. Młodzi nacjonaliści w wyższej szkole malarstwa walczą o zniesienie modelarstwa, ponieważ demoralizuje wyobraźnię.

Paryż. Wielu pisarzy różnych przekonań, chcąc dać narodowi przykład braterstwa, mimo różnic poglądów utworzyło nowy związek, w którego skład wchodzi: Aragon, Bernanos, Chamson, Colette, Descaves, Gillet, Guèhenno, Malraux, Maritain, Mauriac, Montherlant, Romains, Schlumberger.

Londyn. Listy Napoleona, wielkiej wartości, zostały wystawione na sprzedaż aukcyjną. Francuska Partja Komunistyczna rzuca projekt narodowej subskrypcji na wykupno listów.

Paryż. Serce i mózg, oto dwa pasjonujące tematy rozmów Paryżan. Dzięki interwencji chirurgicznej udało się przywrócić do życia zgasłe serce bezrobotnego, który „zabił" się nożem. Profesor Gosset przedstawił aparat, rejestrujący najmniejsze wibracje żywego mózgu.

Anglja. „Komitet zaginionych książek" stwierdził, że z wypożyczalń giną przedewszystkiem powieści kryminalne.



Prze-ŁOM rys. K. Baraniecki

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.**